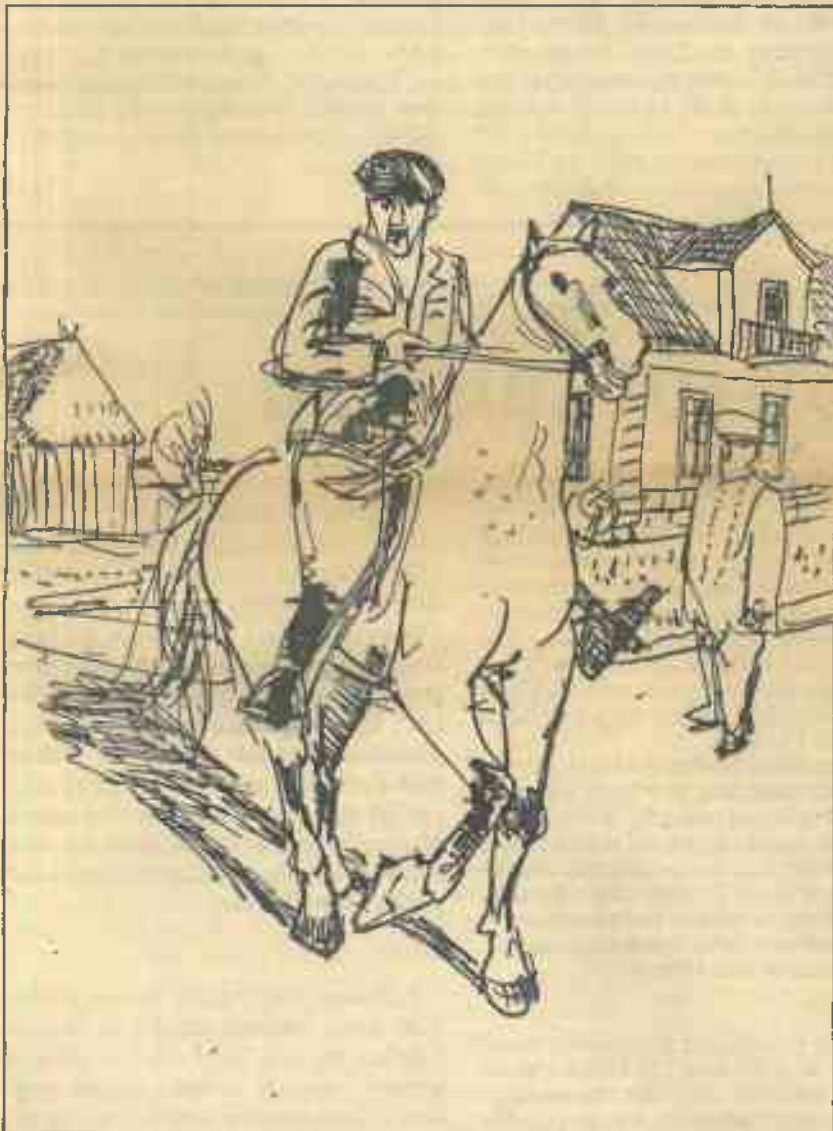


# TYGODNIK LITERACKI

Nr 13 ■ Rok I ■ 16 GRUDNIA 1990

ISSN 0867-1257 ■ Nr indeksu 379689 ■ Cena 2500 zł

w numerze: **G Ł A Z □ K R A S K A - M A J T K O W S K I**  
oraz: **MACIEJEWSKI, KOMENDANT, KOTAŃSKI, SMOLKA, RUTKOWSKI, TOMCZYK**



EDWARD DWURNIK

**Zbigniew Łopatowski**

## *Panie prezydencie*

...jesteśmy razem  
połączeni wstęgą wzroku  
myśląc...  
i mówiąc  
o Ojczyźnie  
                  **NASZEJ**  
tyle krwi kiedyś...  
...połało się z boku  
a dzisiaj mamy... wolny  
- wstęp...  
aby wejść do **NASZEGO DOMU**  
pełnego ogni światel...  
odpowiedzialność...  
za **ORLA**  
naszych marzeń...  
**KTÓRY**  
który jest w sercu ...  
który jest od pokoleń ...  
w naszym duchu  
                  **ROZBIERANEJ OJCZYZNY**  
a dzisiaj możemy ...  
mówić ...  
bez udawania ...  
pełni ducha ...  
że będziemy pracować ...

aby przerwać ...  
ten  
pomost **TRAGEDII**  
gdy musieliśmy  
**OBCYCH SŁUCHAĆ**  
... a teraz  
                  **PREZYDENCIE**  
... jest pan ambasadorem ...  
                  **POLSKI**  
... i dlatego wiem ...  
ze podam panu rękę ...  
... aby otworzyć most  
do wszystkich ludzi ...  
którzy mają serce ...  
i w pamięci ...  
                  **NASZEJ OJCZYZNY**  
                  **PONIEWIERKĘ**  
panie **PREZYDENCIE**  
**CAŁY WOLNY ŚWIAT**  
jest z **PANEM**  
a obok czeka ...  
                  **CZĘSTOCHOWA**  
a w **CZĘSTOCHOWIE** ...  
czeka  
**SPOWIEDŹ NARODOWA** ...

**Marek Karpiński**

## **Kosy rzut oka na literaturę**

W Wolnej Ojczyźnie literatura polska zaczyna żyć swoim własnym życiem.

Rozpoczynamy więc przegląd grup literackich, które na przekór polityce wydawniczej, salonowym koteriom i filisterskim gustom niosą kaganiec awangardy na twarze naszej inteligencji, dzierżą jutrzemkę literackich swobód nieraz do, nieraz po zmierzchu.

Pośród prozaików-realistów prym dzierżą **realiści-planiści**, którzy postawili sobie za zadanie od-

wzorowywanie rzeczywistości w skali 1:1000, i wyświełają swoje mapy (tu mamy do czynienia z czynnikami literackiej kontestacji) na dzieła klasyków. Szczególnej uwagi wymagają dokonania Jacka Mercatora, który jednak bywa oskarżany przez tzw. twardego trzon realistów-planistów o ugięcia i odchylenia. Mercator z kolei zarzuca doktrynerom kierunku pewną płaskość i brak globalności.

Swą odrębność zaznaczyli tu **planiści-minimaliści**,

którzy swoje utwory zwykli umieszczać na papierze milimetrowym. Te minimalne cacka, odbijające jednak naszą rzeczywistość z dokładnością dobrze wypozerowanego zwierciadła, odznaczają się szczególnym wdziękiem i ogromną poręcznością. O ile *opus magnum* realisty-planisty może zajmować około czterdziestu metrów kwadratowych papieru, o tyle wdzięczne etiudy milimetrowców nie wykraczają poza szesnastokartkowy kajecik. Dokonania tej grupy chciałoby się rzucić w twarz tym literackim krytykom, którzy, na przekór ich utworom, ośmielają się twierdzić, że „świat nie został przedstawiony”.

Wymieniony wyżej odłam znajduje się w stanie permanentnego sporu z grupą **pisarzy-kolektywistów**. Ci ostatni postawili sobie za zadanie artykulację

dokończenie na s. 11

# twarz tygodnia



rys. JACEK GAWŁOWSKI

## NOWOŚCI WYDAWNICZE

Adam Słodowy, **JAK ZROBIĆ SIERPIEŃ, MARZEC, ALBO GRUDZIEŃ**. „Młody Technik”; Warszawa 1990;

Jakub Karpiński, **KOLUMBOWIE – ROCZNIK 1940**. PIW, Warszawa 1990;

Antoni Pawlak, **KAŻDY Z WAS JEST MAZOWIECKIM**. Agora 1990;

Wojciech Karpiński, **KOLUMBOWIE – ROCZNIK 1943**. Iskry 1990;

Lech Wałęsa, **WIDZENIA NAD ZATOKĄ PUCKĄ**. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1990;

Charles Baudelaire, **KWIATY ZŁA**. Wydawnictwo Herbatol, Kielce 1990;

Marcin Król, **RES PRIVATA**. Wyd Res Publica, 1990;

Marek Karpiński, **KOLUMBOWIE ROCZNIK 1948**. Nacza Księgarnia 1990;

Jerzy J. Wiatr, **I POWRACA BUKOWSKI**. Editions Spotkania 1990;

Wojciech Jaruzelski, Ryszard Kaczorowski, **BULWAR ZACHODZĄCEGO SŁOŃCA**. „Książka i Wiedza”. Polonia Warszawa-Londyn 1990;

**SŁOWNIK POLSKO-NIEMIECKI I ROŚYJSKO-POLSKI**. PWN 1990;

**PROGRAM WYŚCIGÓW KONNYCH**. Wydawnictwo Znak, Kraków 1990;

Marian Jurczyk **CZAS NA PIESZCZOTY SIĘ SKOŃCZYŁ**. Wyd. II poszerzone i po-

prawione, Szczecin 1991;

**ENCYCLOPEDIA BRYTANNICA XXXVIII t.** Wyd. LII przejrzała i poprawiła Hanna Baltyn, wstęp Wanda Zwinogrodzka, Postowie Marta Fik i Tomasz Burek. London-Oxford-Cambridge ETON 1990;

Michał Jagiełło, **O WYŻSZOŚCI NIZIN NADGÓRAMI**. Nakładem Towarzystwa Serca Jezusowego, Warszawa 1990;

Tomasz Rudomino, **ESCHATOLOGICZNE PARADYMATY KONCEPTUALIZMU W ASPEKcie REWOLUCJI POST-MODERNISTYCZNEJ NA PRZYKŁADZIE MALARSTWA ANDRZEJA FOGTA**. Wstęp Karol Czejarek. „Sztuka”, Warszawa 1990;

Roman Samsel, **JAK ZOSTAĆ PREZYDENTEM. PORADNIK DLA BUSINESSMANÓW**, Wydawnictwo MON, Warszawa 1990;

Bożena Kowalska, **ROLA ABSTRAKCJI GEOMETRYCZNEJ W ZBWIENIU CZŁOWIEKA**, Centrum Sztuki Współczesnej, 1990;

Edward Dwurnik, **JAK ZOSTAŁEM MALARZEM NARODOWYM I DLACZEGO? ROZMOWA Z AUTOREM OBRAZU „JESTEM PREZYDENTEM”** – Nakładem Galerii Foksal, Warszawa 1990.

ogłoszenia drobne

■ Sto obrazów najwybitniejszych malarzy młodego i średniego pokolenia zamienię za jeden rysunek Jerzego Nowosielskiego. Wiadomość w redakcji.

## SPROSTOWANIE

Do Artykułu Politycznego w numerze 8. wkradł się przykry błąd. Zdanie „nie będę głosował na Lecha Wałęsę” winno oczywiście brzmieć – „będę głosował na Lecha Wałęsę!!!”

**Lech Komendant**  
(d. Tadeusz Komendant)

## WYJAŚNIENIE REDAKCJI

Passus Jerzego Andrzejewskiego – „Lobuzami mogą być papież i wikary z zapadłej wioski” („Tygodnik Literacki” nr 11) nie odzwierciedla poglądów redakcji.

7.XII w kawiarni „Czytelnik” Czesław Miłosz, przebywający w Polsce, spotkał się z wielbicielami swojej twórczości. Wiersze poety czytał Daniel Olbrychski, słowa wstępnego nie wygłosił Lesław Bartelski. Po spotkaniu cocktail z Noblistą. ■ Redakcja „Tygodnika Literackiego” ogłasza konkurs na najgorszy wiersz miesiąca. Teksty prosimy przysyłać na adres: „Tygodnik Literacki”, ul. Wilcza 1/21, 00-538 Warszawa. Termin przysyłania prac mija 15.1.1991. Nagroda dla zwycięzcy do ustalenia. ■ W stopce redakcyjnej ostatniego numeru pisma „Nie” zauważyliśmy nazwisko znanego publicyści, którego nie chcemy zdradzać. Warto kupić. ■ 10.XII rozdano w Sztokholmie zaległe nagrody Nobla. W dziedzinie ekonomii otrzymał ją Edward Gierk, literatury – Eliza Orzeszkowa, a w dziedzinie fizyki bracia Kowalczykowie. Niestety nie wszyscy laureaci mogli osobiście odebrać nagrodę. ■ W galerii „Kordegarda” do połowy stycznia eksponowane są rysunki Marca Chagalla odnalezione w jego mieszkaniu. Kilkadziesiąt wspaniałych prac składa się na tę wystawę, której światowa premiera odbywa się w warszawskiej galerii. ■ Do 20.1.1991 można wybrać się do Zamku Ujazdowskiego (Centrum Sztuki Współczesnej) na pokazy eksperymentalnych prac video *Wilson w torbie* autorstwa znanych fotografików węgierskich i austriackich. Lepsze niż projekcje proponowane do tej pory. ■ W galerii teatru „Ochota” do końca grudnia oglądać można wystawę kostiumów do sztuki *John i Mary*. Gorąco polecamy tę ekspozycję połączoną ze sprzedażą. ■ W galerii „Dziekanka” do 2.III.1991 czynna jest wystawa portretów dziekanów wszystkich polskich uczelni, których kadencja przypadła na lata 1985–1990. Warto zobaczyć. ■ W sali kongresowej PKiN, 5.XII odbył się koncert *Aby Kuwejt był Kuwejtem*. Cały dochód z koncertu przeznaczony jest na pomoc dla Iraku. ■ W „Operetce” do końca grudnia oglądać można *Królową Śnieżkę*. Nie byłoby to warte zobaczenia, gdyby nie fakt, że w rolach siedmiu krasnoludków najlepsi pol-

## przegląd kulturalny

scy aktorzy. Gorąco polecamy. ■ Po *Stanie posiadania, Stanie wewnętrznym, Stanie strachu, Ostatnim dzwonku, Ostatnim promie* Krzysztof Zanussi kręci *Ostatni Stan*. ■ Krzysztof Kieślowski jest w trakcie realizacji swojego najnowszego filmu pt. *Krótki film o nieotrzymaniu lokci na stole*. Z niecierpliwością czekamy na efekty. ■ 6.XII w Glasgow wywieszono grafik przewidywanych zdobywców nagrody Felixa na najbliższe pięćdziesiąt lat. W 2033 roku nagrodę tę otrzyma Mariusz Trelński za film *Pożegnanie z jesienią*. Nagroda za najlepsze aktorstwo wręczona będzie oczywiście Krystynie Jandzie. Już teraz możemy pogratulować zwycięzcom. ■ 5.XII Andrzej Wajda, Agnieszka Holland, Krzysztof Zanussi, Krzysztof Kieślowski otrzymali nagrody Japońskiego Instytutu Filmowego za całokształt dokonań artystycznych. Wszyscy laureaci wybrali się do Tokio, by osobiście odebrać nagrody w postaci kamer filmowych mieszczących się w zegarku. Brawo! ■ Przewidywane na 7.XII spotkanie z Czesławem Miłoszem w krakowskim klubie „Pod Jaszczurami” nie odbyło się. Poeta nie podał przyczyny swojej nieobecności. Podejrzewa się, że za późno wyszedł z warszawskiej kawiarni „Czytelnik”. Odbył się natomiast cocktail bez Noblisty. ■ Worstsellery tego tygodnia: Jerzy Kopeć-Bronecki: *Sensybilistyka w liceum* (Amber), *Słownik poprawnej polszczyzny* (MON), *Atlas erotyczny dla dzieci i młodzieży* (PIW).

M.M.

Krzysztof Rutkowski

artykuł niepolityczny

## Powrót mistrza

Ze Mistrza Andrzej powróci w nowym wcieleniu, wiedziałem od dawna. Nie sądziłem jednak, że w dziwacznej pochwie biznesmena w dżungli. Wybiła godzina: wszyscyśmy z utęsknieniem wyglądali Mistrza, bo życie stało się nie do zniesienia i zalamaliśmy się próby stworzenia Republiki z Ducha – Duchem. Nędza i wszelakie dociski zanadto dopiekły. Najgorsze, że dopiekła wolność. Ciężar trudny do zniesienia. Mistrz wie jak ów ciężar zdejmować z karków.

Nie doceniałem Mistrza Andrzeja. Poprzednim razem obiecywał, że wszyscy wygnani wrócą do ojczyzny zagrody, a tym razem obiecuje, że wszyscy w ojczyźnie zagrodzie będą bogaci. Dlatego, że na to zasługują. Poprzednim razem Mistrz Andrzej robił z Polaków naród wybrany oczywiście pod warunkiem, że każdy pojedynczy Polak będzie mu posłuszny. Trzeba zatem wybrać Mistrza.

2.

Od kiedy przeczytałem w artykułach zamieszczonych w „Liberation”, że Mistrz w nowej pochwie zachował swój dar tajemniczego wpływu na ludzi za pomocą wzroku i prądów magnetycznych, a kasjerka Bogna ze śląskiego supersamu wyznała, że gdy tylko na nią spojrzal to od razu wiedział na kogo ma głosować, zrobiło mi się ciężko na duszy. Kilka miesięcy temu ostatni wyznawca Mistrza z poprzedniego wcielenia zmarł w Turynie. O zgonie dowiedziałem się we Florencji w pierwszych dniach października. Na początku listopada, kiedy skręcałem z placu Hiszpańskiego w Rzymie w zaułek San Sebastian, by szperać w archiwum Czcigodnych Ojców Zmartwychwstańców, którzy tyle energii poświęcili walce z Mistrzem, spod rajska zielonego drzewa obwieszzonego groteskowo dyndającymi mandarynkami wyskoczył Ferdynand Gutt. Pogroził mi palcem z ironicznym uśmiechem. Przesłanie pojąłem dopiero po lekturze „Liberation”.

Nazajutrz ciężkie dostojęństwem wrota Panteonu uchylił Bogdan Jański. Spojrzal na mnie przenikliwie i szepnął: „kropidłem go, kropidłem...”

3.

Mistrz ma siłę magnetyczną, której sprzyja telewizja. Jak w Związku Sowieckim uzdrawiacz leczy przez ekran, tak w Polsce Mistrz może zestrzelać duchy w jedno ognisko lepiej i skuteczniej dzięki urządzeniu produkcji krajowej i zagranicznej. Niebezpieczeństwo grozi jedynie ze strony aparatów typu „Rubin”, które wybuchają najczęściej w nieodpowiednim momencie. Setki anten satelitarnych wystających z balkonów naszych miast i wsi jak wyrwione pieczarki to flagi na cześć Mistrza. Więc kropidło też musi być elektroniczne. Zdaje się, że włączył je do sieci ksiądz profesor Józef Tischner.

4.

Podziwiam przewrotność Mistrza. Poprzednim razem namawiał przecież do wielkości z ducha i ubóstwa. Teraz odwrócił porządek wartości: ponieważ duchowo jużśmy wyrobieni i bijemy moralnie wszystkie inne narody do takiego stopnia, że nawet wspominać o tym nie wypada – nadszedł czas ciała. Mickiewicz Mistrzowi już niepotrzebny. Między jednym wcieleniem i drugim Mistrz przeczytał Gombrowicza i wie że:

Gdy czytam

Gdy piszę

Gdy biorę udział

Gdy funkcjonuję

Zawsze i wszędzie natrafiam na prawo

Im mądrzej

Tym głupiej.

5.

Żadne kropidło nie pomoże. Mistrz wróci, wróci...

**Krzysztof Rutkowski**  
Paryż, Noc Listopadowa 1990

Stasiewiczem, przewodniczącym okręgowego Zrzeszenia Studentów Polskich. Wynajęli salę Teatru Kameralnego przy ulicy Świdnickiej. Teatr ten może pomieścić jakieś 850 do 900 widzów. W dniu premiery bilety zostały wyprzedane. Sporo ludzi odeszło od kasy niezadowolonych. Sala została szybko wypełniona po brzegi. Strażacy nie pozwalali nam wpuszczać widzów na miejsca stojące. Byli to głównie studenci i profesorowie z uniwersytetu, Politechniki Wrocławskiej i prawie wszyscy z naszej szkoły. Do dziś nie wiem, jakiej reklamy użył Michał, żeby przyciągnąć tylu ludzi. Tym bardziej, że tego typu imprezy studenckie były zazwyczaj omijane i nikt by za darmo nawet na nie nie poszedł. We Wrocławiu dopiero zaczynało się pewne ożywienie teatralne. Coś w rodzaju kabaretów, jak ten prowadzony przez Hankę Jarosz w schronach przeciwatomowych, gdzie w trzecim podziemiu na Rynku, czy parę innych, których nazwy nikt dziś już nie pamięta.

**Dlaczego więc ci ludzie przyszli?**

– Nie bardzo wiem. Może sama nazwa intrygowała. Może dlatego, że naszym hasłem było „nie wolno z publiki robić balona”. Tenże slogan wisiał przyczepiony do ogromnego balonu nad sceną. Scena była otwarta. Nie używaliśmy kurtyny. Miało to oznaczać jawność życia. Na scenie ogromny stół zastawiony obficie jadłem i napojami. Były kanapki z szynką(!), rzodkiewki, ciastka i wino w szerokim wyborze. Były tam „ryzlingi”, których używano się do mieszania z wodą mineralną i które z tej racji wytwornie nazywały się szprycerami. Na scenie było też jakieś potężne łoże, drewniany, naturalnej wielkości, wspomniany już osioł i parę krzesel. Wszystko to, wypożyczzone z teatralnej rekwizytorni, nie określało żadnego charakteru sztuki, ale dziwiło nawykłą do innego teatralnego obrządku widownię.

**Czy mieli Panowie jakiś scenariusz, mam na myśli teksty?**

– Uchroni Panie Boże. Żadnych tekstów, żadnego scenariusza. Mieliśmy już natomiast pełną świadomość sensybilistyczną. Spektakl stał się w trakcie jego trwania. Stwarzał się zgodnie z naszym przewidywaniem. To znaczy moim i Michała, bo frakcja Zajczkowskiego, do której należał również Jerzy Popowski i Rena Konieczka, coś tam przygotowała, jakieś fragmenty z *Boskiej Komedii* Dantego czy inne wiersze. Kolega Migdał zaś umiał coś z „Wielkiej Improwizacji”, ale nie dopuściliśmy go do głosu na dłużej niż kilka minut. Myśmy częściowo pozwalali im to odstawić lub wyciszyliśmy ich na żywo, żeby nie było amatorszczyzny. Od pierwszego mojego wejścia na scenę z butelką wina w rękę i głośnego nalewania do stojącej na ziemi szklanki przy objaśniających słowach, „że my tu, proszę państwa, nie tradycyjnie, jak dawniej, teatr robimy, że my przede wszystkim eksperymentujemy” posypały się rzęsiste oklaski, które nagradzały co lepsze sceny przez bite trzy godziny. Michał zaintrygował wszystkich swoim znakomitym wykonaniem „traktorów” do stworzonego na poczekaniu tekstu, „a kto nie ma piątej kleпки, ten gra w różne liczyrzepki” itp.

**Jak wam się udało utrzymać widownię w napięciu przez tak długi czas?**

– To był właśnie sensybilizm. Opisałem powyżej pewne fizyczne aspekty, żeby dać obraz sytuacji na scenie. Niestety, nie oddaje to nawet części tego, co tam się działo. Bo to nie było tylko przedstawienie. To była, proszę pana *missa sollemnis*, msza jakiegos niezwykłego kościoła, celebracja, ofiara, dzielenie się jadłem i napojem, to była komunija. Bo to jadło zostało rozdane widzom, co śmielsi przychodzili jeść z nami na scenę. Była Wanda Gólkowska, Andrzej Pękalski, Jerzy Lukierski (matematyk), Profesor Geppert, Jasio Chwałczyk i Jasio Geppert (bratanek profesora) i nawet jakieś, jak się to wówczas nazywało, czynniki oficjalne. Wielka wspólna, spontaniczna zabawa z doborową publicznością, spragnioną nowej formy, która miała niewątpliwie świadomość współuczestniczenia, brania udziału w akcie jednoczenia się przeciwko istniejącym do tej pory formom, nakazom, zakazom i tradycji. Była w tym wspólnota działania i odczuwania. Pierwszy wielki happening, autentyczny i nie wydumany, jakie później

działy się w naszym życiu artystycznym. *To na kilka lat przed ich wynalezieniem na Zachodzie.*

– Ale myśmy nie myśleli jeszcze tymi kategoriami. Nie operowali nowym językiem, dlatego reporter „Gazety Robotniczej” pisał nazajutrz w bardzo zresztą pochlebnej recenzji „nie bardzo wiedziałem, co się dzieje czy to piekło Dantego, czy teatr z nieprawdziwego zdarzenia”.

**Czy po tym spektaklu, który nazywał się właśnie „Sensybilizm”, były następne manifestacje w Polsce?**

– Tak. We Wrocławiu odbyły się jeszcze dwie premiery w rocznych odstępach: *Introspekcja, czyli wejście w siebie* i *Katastrofizm*.

*Introspekcja* miała charakter medytacyjny, była próbą przemyślenia pewnych spraw dookoła nas, a *Katastrofizm* miał pokazać, udowodnić, że spowodowanie katastrofy jest możliwe. Z tego ostatniego przedstawienia widzowie zaczęli wychodzić już przed przerwą i w czasie przerwy nikogo nie było na sali. Uważaliśmy to za duży sukces.

**Co stało się z sensybilizmem po katastrofie?**

– Jak zwykle po katastrofie. Bardzo długie i powolne przychodzenie do siebie.

**A jaki wpływ miały te wydarzenia na życie artystyczne w Polsce?**

– Trudno przeceniać, ale wpływ był bardzo duży. Wyobraźmy sobie 3000 młodych ludzi bezpośrednio, na żywo odbierających pewne nowe impulsy. Są oni wówczas studentami wyższych uczelni. W niedługo potem wielu z nich zostaje asystentami, profesorami, dziś niektórzy z nich są dziekanami i rektorami, dyrektorami wydawnictw, dziennikarzami czy cenionymi artystami i pracownikami naukowymi i pozostają nadal sensybilistami. Podejrzewam nawet, że sensybilizm jest dziedziczny, ponieważ mamy całe nowe pokolenia prawdziwe w tym duchu ukształtowane.

**Sądzi Pan, że miało to też wpływ na politykę?**

– Jestem tego pewny. Wystarczy rozrzeć się dookoła.

**Wyjechał Pan w 1965 do Francji, mieszkał w różnych częściach świata i wiele podróżował. Czy sensybilizm zaznaczył się czymś za granicą?**

– Nie znam kraju, może z wyjątkiem Australii, gdzie nie byłoby wpływu sensybilizmu, ale temu należałoby poświęcić osobną rozmowę.

W roku 1965 w Paryżu reprezentowałem Polskę na IV Międzynarodowym Biennale Sztuki trzema dużymi obrazami niewątpliwie sensybilistycznymi, bo przechodzący przez wystawę Marc Chagall doczytał się w nich „siły spokoju” i oddał mi własną nagrodę, jaką mu przyznano wówczas w Holandii. Dla zachęty do dalszej pracy, *pour l'encouragement* – jak to ładnie powiedział, i jestem pewien, że miał na myśli sensybilizm.

**A potem było to wielkie spotkanie na południu Francji w Vence.**

– Moja trzyletnia znajomość z jednym z największych sensybilistów na świecie była dla mnie wyjątkową okazją sprawozdania, oceny, porównania i skorygowania wielu dotychczasowych przemyśleń.

Przy okazji chciałbym dodać, że opis tych wydarzeń znajduję czytelnic w mojej książce *Gombrowicz w Vence*.

**Czy jest to zapis stosunku Gombrowicza do sensybilizmu, jego filozofii i myślenia?**

– Byłoby nieuczciwe z mojej strony, gdybym coś takiego próbował. Swoje myśli Gombrowicz wyraził najlepiej w swoich książkach. Ja starałem się z wieloletniego otoczenia wokół niego wylać i zapisać to, co było sensybilistyczne, polskie w nim samym i w jego spotkaniach z innymi ludźmi i z naszych częstych spotkań w tym małym śródziemnomorskim miasteczku malowniczo położonym w nadmorskich Alpach.

**Było to – jak Pan gdzieś wspomina – życie w innym wymiarze.**

– W wymiarze sensybilistycznym.

**Czym jest wobec tego sensybilizm?**

– Na to pytanie nie mogę panu odpowiedzieć.

**Jak to? Pan, który to stworzył?**

– Jak pan zdążył się już zapewne zorientować się z naszej rozmowy, byłoby to przeciwne duchowi sensybilizmu.

\* Rozmowa z artystą została przeprowadzona na okazji XXXIV rocznicy sensybilizmu.

## Ankieta: Co się stało w sztuce lat osiemdziesiątych?



FRANCISZEK MASŁUSZCZA



EDWARD DWURNIK

## Postmodernizm

Dziwnie mało piszą filozofowie o budzeniu się. Śpiemy jak bogowie, budzimy się jako ludzie. Tę sprzeczność próbował scalić biskup Berkeley: patrząc, omiatając rzeczy przytomnym spojrzeniem, przywołujemy je do życia i stajemy się demurgami.

Zbudziłem się niechętnie i kiedy w pośpiechu wychodziłem z domu, nic jeszcze nie zapowiadało epokowych wydarzeń. Najpierw ożywiłem wzrokiem chodnik, niestety, niezbyt dokładnie, nie byłem jeszcze do końca rozbudzony, więc leżał na ziemi krzywo, płyty były popękane i szare. Potem poruszyły się cherlawe sosenki na piaskach wokół bloków i pojawiły kobiety spieszące z siatkami do swych mieszkań; niestety, kobiety też niezbyt podobne do bogiń. Wiatr owiewał to wszystko smętnym poszumem i nie wiedziałem, czy jeszcze śpię, czy już się zaczęła znojna, berkeleyowska jawa.

Kiedy zaczął się postmodernizm, stałem na peronie stacji w Otwocku i spoglądałem na kundle biegające po zawalonym stertami węgla placu. Pociąg spóźnił się, więc postmodernizm rozwinął się w pełni, wkrótce – psy akurat rozszczęka-

ły się (nie wiem dlaczego) – miał swoich mistrzów i akolitów, wyznawców i świeckich apostołów. Zapanował wszędzie. W pociągu popatrywałem na ludzi, zdumiony, że tak wielkie wydarzenie – zmiana epoki – dokonuje się przy ich całkowitej niewiedzy. Postmodernistyczny wiatr szumiał jak zawsze, postmodernistyczne kobiety z postmodernistycznymi siatkami drzemały w pociągu na ławkach; na mijanych niespiesznie, małych stacyjkach kręciły się bezpańskie psy, już całkowicie postmodernistyczne.

Przebudzony i ciekawy dalszego biegu zdarzeń, gotowy na jeszcze większe niespodzianki, sięgnąłem po prasę i z kilku artykułów o sztuce i literaturze dowiedziałem się, że właśnie rozpoczął się post-postmodernizm. Odetchnąłem z ulgą; przeżyłem dwie epoki... Zawstydzeni i senni bogowie odwrócili wzrok. Post-postmodernistyczny pociąg wyjeżdżał na post-postmodernistyczne Śródmiście.

(Puenta do tej historii ma już czterysta lat. Montaigne: „Można powiedzieć z niejakim podobieństwem że istnieje nieuctwo elementarne, które idzie przed wiedzą; i drugie, doktorskie, które idzie po wiedzę”).

Rajmund Kalicki

TYGODNIK  
LITERACKI 5



do wszelkich dziwactw, mogła każdemu wchodzić na kolana, zjadać najlepsze potrawy z cudzych talerzy, podszuchiwać i podglądać oraz mówić każdemu prawdę w oczy. Dlatego odrzuciła propozycję asystentury, postanowiła wrócić do Comparaiso, żyć z dnia na dzień, bez pieniędzy, bez kłopotów, bez zobowiązań.

- Kochałam się wczoraj z Tutenchamonem, wiesz - powiedziała do taksówkarza.

- Jak było?

- Sam spróbuj - zachichotała i wyjęła mu z kieszeni papierosa.

- No a poza tym - myślała dalej - i co jest w końcu najważniejsze, dostałam zwolnienie z wojska!

Jakiś czas temu odwiedziła doktora Elwarda, z polecenia komisji wojskowej, i grożąc ręcznym granatnikiem przeciwpancernym zażądała zaświadczenia, że jest zupełnie zdrowa. Wywołało to oczywiście skutek wręcz odwrotny - została uznana za w pełni niepoczytalną i częściowo niebezpieczną, zaś doktor Elward jeszcze przez dwie noce nie mógł spokojnie spać.

Nawiedzona była więc wolna. Wolna i szczęśliwa, tak jak tylko może być wolny i szczęśliwy doktor socjologii, który nie musi wykonywać swego nudnego, niewdzięcznego i nikomu niepotrzebnego zawodu. Wracając do hotelu, a tam spakuje tylko walizkę i sprawdzi o której ma samolot i już niedługo powróci do wspaniałego, boskiego Comparaiso - miasta artystów, miasta idiotów, degeneratów i dekadentów, gdzie zawsze świeci słońce i dojrzewają owoce, kwitną agawy i kaktusy, a wszyscy mężczyźni tylko czekają na to żeby im weszła do łóżka.

- Ach, Comparaiso - westchnęła Nawiedzona i jeszcze raz obejrzała swój ozdobny dyplom.

W tym samym mniej więcej czasie wspomniany nie tak dawno doktor Elward, lekarz psychiatry, wybitny specjalista od leczenia nerwicy psychostenicznej i depresyjnej, spożywał obfity obiad. Lubił obfite obiady i za to właśnie cenił najbardziej swą żonę, że potrafiła je bardzo dobrze przyrządzać. Doktor Elward był człowiekiem zadowolonym z siebie i z życia, człowiekiem, któremu się powiodło. Wykonywał swą pracę wzorowo i bez zarzutu, pacjentów traktował obojętnie, ich dolegliwości bagatelizował i w miarę jak wyzbywał się współczucia i zrozumienia zdobywał coraz więcej fachowości i wprawy. Był absolutnie doskonały.

- Hibernowałem dzisiaj dwie osoby - powiedział odstawiając talerz i ocierając sobie usta serwetką.

- Znowu?!

- Tak - uśmiechnął się do żony. - Ciebie to zawsze tak ładnie przeraża, a to zupełnie normalny zabieg.

Zabrał się do deseru.

- Musimy być zdecydowani. Tym ludziom nie da się inaczej pomóc, to beznadziejne.

- No a na przykład depresja? Przecież to nie jest aż taka groźna choroba.

- Choróbsko paskudne - powiedział doktor oblizując się ze smakiem. - Depresja obezwładnia, to po pierwsze. Jest bardzo nieprzyjemna dla chorego i psuje humor jego otoczeniu. Poza tym tacy ludzie są zupełnie bezużyteczni dla społeczeństwa: nic nie robią, a jeżeli już coś robią to źle, dlatego hibernując ich, działamy jednocześnie w ich własnym interesie i w interesie społeczeństwa. Gdyby tak ich zostawić nie leczonych mogłoby się zdarzyć coś gorszego - światowa fala depresji! W poprzednim stuleciu zdarzały się takie rzeczy. Zaręczam ci - to był koszmar. Czytałem o tym.

- No a acedia?

- A tobie skąd to do głowy przyszło?

- Mówili w telewizji. „Pasta do zębów firmy Pulpo uchroni ciebie i twoją rodzinę przed niebezpieczną acedią”.

- No proszę. Oto dlaczego należy zlikwidować telewizję. Acedia to straszna rzecz. Nowa potworna choroba. Lepiej w ogóle o tym nie myśleć.

- Dobrze - powiedziała żona i posłusznie przestała o tym myśleć.

- Acedia - pomyślał za to doktor. - Co tym idiotom strzeliło do głowy!? Specjalnie wymyślają nowe choroby, żeby podkopać zaufanie do lekarza. Na studiach mnie o żadnych acediach nie uczyli. Teraz się zaczęło. Człowiek sobie ręce po łokcie urabia od schizofrenii do klaustrofobii, będzie jeszcze jedno! - zirytował się doktor i zapalił papierosa, chociaż ze względu na zdrowie robił to rzadko.

W tym samym mniej więcej czasie młoda i sympatyczna osoba zwana uparciem, nie wiedząc czemu, Najbliższą Przyjaciółką pracowała zażarcie w swej łazience przekształconej tymczasowo na ciemnię fotograficzną. Miała podwinięte rękawy koszuli, spocone czoło, zmęczony od schyłania się kręgosłup i przy świetle czerwonej żarówki kończyła obróbkę fotogramów na międzynarodowy konkurs fotografii ekologicznej. Fotografia była jej największą i jedyną pasją. Pozwalała jej od-

począć, odprężyć się i dawała okazję całkiem niezłych zarobków. A jakaż to wspaniała przyjemność naładować nowym filmem ukochanego, wspaniałego Canona i pojechać do Parku Wdzięczności fotografować wiosenną trawę albo żółknące liście, ustawiać światło, dobrać filtry i obiektywy. To było to! Dlatego właśnie, chociaż powszechnie uważana za wybitną portrecistkę, uparcie i konsekwentnie szkoliła się w zdejmowaniu plenerów. Teraz właśnie skończyła płukanie odbitek i z westchnieniem ulgi zapadła w głęboki fotel z puszką zimnego piwa prosto z lodówki w rękę, kiedy usłyszała dziwne i natarczywe skrobanie do drzwi. Najpierw pomyślała, że to pies i wyobraziła sobie pięknego, dużego setera, potem pomyślała, że to zjawa, bo noc już była ciemna, i nie potrafiła sobie jej wyobrazić, potem, gdy skrobanie nie ustawało otworzyła drzwi i zobaczyła leżącą na wycieraczkę upierścienioną rękę w białej koszuli, a wychyliwszy się nieco dalej ujrzała światowej sławy reżysera Sylwiusza de Vorne leżącego rozkosznie na plecach i belkocącego łacińskie wiersze.

- O... jak to miło cię spotkać - powiedział Sylwiusz nadal w pozycji leżącej. - Właśnie wystukiwałem heksametry, jeśli cię obudziłem to przepraszam.

Sylwiusz był zalany dokładnusięniem. Mrugał oczami i co chwila oblizywał zeschnięte usta.

- Przepraszam, że nie mogę wstać, ale nie mogę wstać - oznajmił zgodnie z prawdą i dał się wciągnąć do pokoju.

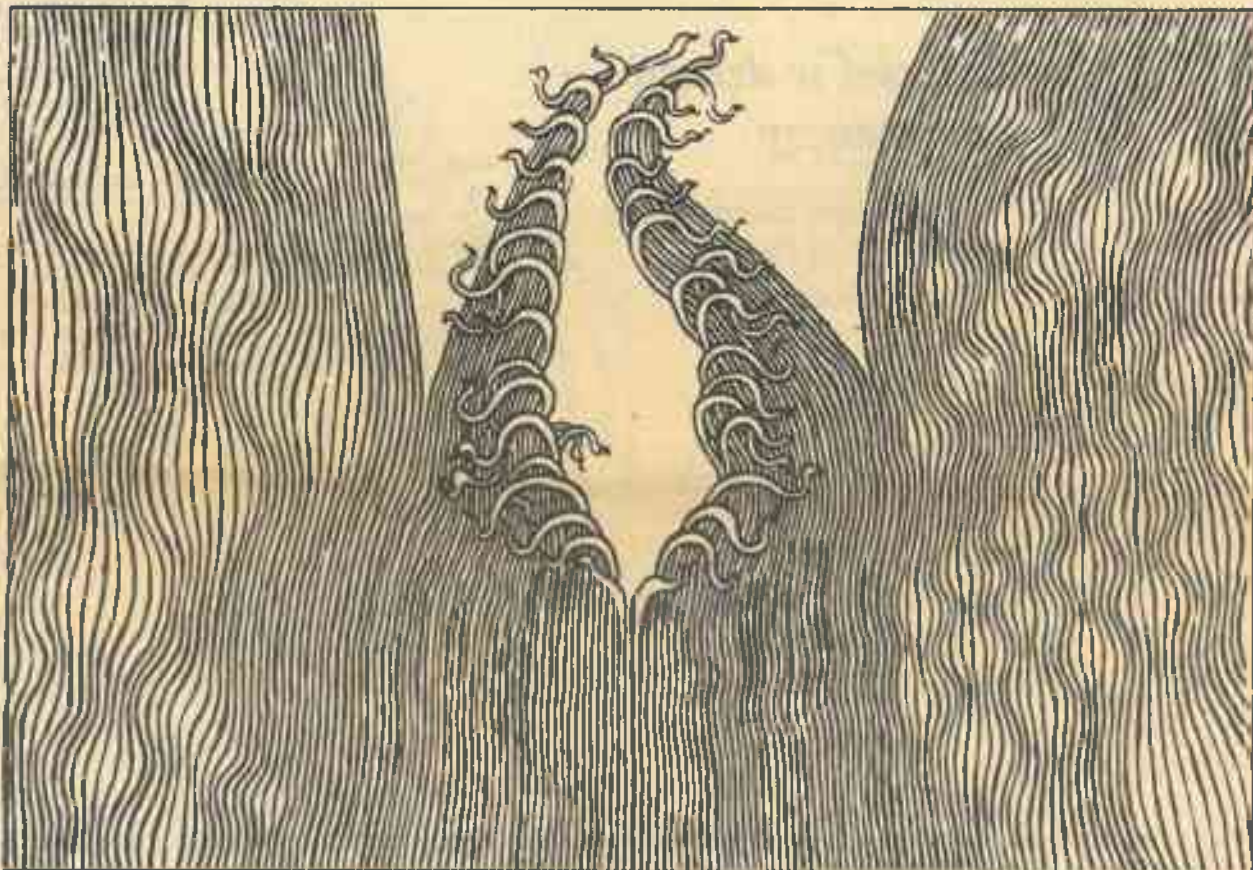
- Jak ty wlałeś na dwudzieste siódme piętro?

- Wydawało mi się po drodze, przepraszam. A w ogóle to przepraszam... że w ogóle, no wiesz... Połóż mnie gdzieś, tylko pod stołem, żeby nie padało - poprosił przepraszająco i zaczął znowu recytować łacińskie wiersze. Potem wybełkotał jeszcze, że bardzo przeprasza i że to wielkie szczęście, że w ogóle gdzieś dotarł, i zasnął. Obudził go tragiczny jęk.

nieziszczalne, niemożliwe do zrealizowania, a jednak mimo to, czuł się skrzywdzony, oszukany i poniżony przez złośliwość losu, który, po pierwsze, nie uczynił go Żydem, a po drugie, nigdy już tego błędu nie nadrobi. Gorycz, żal i permanentna frustracja, których młody goj był nieszczęsną ofiarą, nie tylko nie wzmocniły i nie uszlachetniły jego zbolelej duszy, ale co więcej, przekształcając się po krótkim czasie w symptomy maniakalnego sadyzmu umożliwiły mu błyskotliwą karierę wojskową i doprowadziły aż do najwyższych stanowisk. Rosenblum nie był wciąż Żydem, ale był podpułkownikiem!

Był wytrawnym oficerem, doskonałym dowódcą, genialnym racjonalizatorem. To jego pomysłem właśnie była służba wojskowa kobiet, jego pomysłem było sprzedanie broni konwencjonalnej przeciwnikowi i kupienie od niego broni zakazanej, to on opracował i zatwierdził plany inwazji na najbogatsze państwa neutralne. On też jako zdeklarowany zwolennik pokoju i rozbrojenia umocnił i zmodernizował armię, wprowadził najnowocześniejsze uzbrojenie i bezprzykładną dyscyplinę i tak przygotowany uśmiechał się dobrotliwie i tylko czekał aż wybuchnie wojna.

Podpułkownik Rosenblum zakładał właśnie mundur. Bynajmniej nie dlatego, że czekały go jakieś czynności służbowe. Było słoneczne niedzielne popołudnie, miłe i ciepłe, przyjemne popołudnie podczas którego nawet podpułkownicy mają wolne. Podpułkownik Rosenblum zakładał mundur, bo tylko w mundurze czuł się jak człowiek, tylko w mundurze czuł się podpułkownikiem. Do tego doszło, że bez munduru, jak bez wódki, nie mógł już żyć. Dlatego dopiero kiedy napił się szklaneczkę i założył swój galowy mundur mógł wyjść na niedzielny spacer do Parku Wdzięczności. Chodził po szerokich i wąskich alejkach, koło fontann i między drzewami, przyglądał się cywilom, odbierał honory



JAN DOBKOWSKI

- Sylwiusz, ty świnię, zarzygałeś mi odbitki.

Najbliższa Przyjaciółka rwała włosy z głowy i rozglądała się za tępych nożem.

- Kupię ci nowe, tylko nie krzycz - powiedział powoli i z wysiłkiem nie całkiem rozumiejąc co się dzieje i gdzie on jest i z kim rozmawia i co to właściwie jest, życie, film, sen, czy kretyńska powieść.

- Ty draniu, dzisiaj mam wystawę!

- Kupię ci nowe, kupię ci wystawę, tylko nie krzycz tak bo mnie głowa boli...

Najbliższa Przyjaciółka mogła się tylko rozplakać jak dziecko co też uczyniła rozstawszy się definitywnie z nadzieją na nagrodę w konkursie.

W tym samym mniej więcej czasie podpułkownik Rosenblum, ale, ale... może to tajemnica wojskowa? Nie, nie jest to tajemnica wojskowa bo i mundur akurat na nim był niekompletny i myśli prawie że prywatne chodziły mu po głowie.

Podpułkownik Rosenblum nie był Żydem. Nie był i bardzo nad tym bolał. Niestety twarz, którą codziennie oglądał w lustrze, podobnie jak cała jego genealogia, świadczyła aż nazbyt dobitnie, że nie ma najmniejszych szans, nawet cienia szansy. Podpułkownik zdawał sobie sprawę aż za dobrze, że jego pragnienie jest nierealne,

wojskowych i myślał o tak zwanej ewentualnej przyszłej wojnie.

- A właśnie - przypomniało mu się nagle - Agnieszka, ta która odmówiła pełnienia służby...

Słońce przeświecało przez liście. Fontanny strzelały w niebo. - Tak, to chyba pierwsza żona Sebastiana! Trzeba poczekać z tym wyrokiem. Trzeba poczekać - pokiwał głową myśląc o czymś głęboko.

W tym samym mniej więcej czasie wyżej wymieniona Agnieszka spacerowała po plaży wzdłuż mo...

Ale nie, przepraszam, ja naprawdę nie powinienem myśleć o Agnieszce, ja nawet nie powinienem wymawiać jej imienia. Przepraszam, ale ja muszę trochę o siebie dbać, bo ta kobieta, no trudno, robi na mnie wrażenie i może się to dla mnie źle skończyć, bo dawno już powinienem z tym skończyć, a tymczasem, tak, przyznaję się, nie jestem jeszcze całkiem wyleczony i jeśli chcecie, tak, kocham ją, kocham ją i jestem z tego bardzo niezadowolony!

Jeszcze raz

W tym samym mniej więcej czasie Agnieszka szła dziką plażą. Obserwowała falowanie mew. Na tak

dokończenie na s. 10

# prezentacje

## Etapy moje

Nieczyły Beria dostrzegł moją bezradność.  
Myślałem: spienione wody rzeki Mieni,  
rzeki Świder, jeziora Gopło,  
kres naszych Kresów. Co robić?

Słyszałem burzliwe oklaski, z wolna  
przechodzące w burzę jako taką,  
czystą kaskadę wody – i to ja  
tylko z lekka przybrudzony!

Po moim wyjściu, po wyjeździe,  
bo musiałem wyjść w pewne  
przestronne miejsce (naturze  
potrzeba przestrzeni), dostałem  
przez granicę gryps:  
Finis Patriae.

\* \* \*

Po tysiącu lat, za chwilkę  
przeczytasz ten wiersz. Nie płacz  
strumieniu wieczności.

## Dzięciol w dziupli pomarańczy

W łóżku jej ciała, tworzywie krwi  
co było na miarę Ojczyzny,  
wystrzeliłem pocisk  
genetyczny  
mój wkład  
w zrab  
Nowego, prosto w czerń słońca,  
najjaśniejszy punkt – na powrót  
w siebie, bo żal beze mnie żyć;  
i znowu smażę smardze na twojej wardze –  
ta płynna perła świata  
to cały mój kapitał.

Nie jest to poezja patetycznego krzyku, zamierzająca wściekłość i wrzask historii zagłuszyć spizowym dzwonem tyrtejskiej dykcji, ani poezja codziennych objawień, doszukująca się w najzwyczajniejszych przejawach ludzkiej egzystencji rozblasków absolutu. W wielkiej dycho-  
tomii narzuconej polskiemu poecie przez autora *Ody do wielości*, który stworzył sieć napięć, wobec której każdy musi się określić, Poldek Kraska-Majtkowski nie wybiera ani strony solidarności, ani strony samotności. Zwyczajnie, bez ostentacji, *Idzie na stronę*, jak w wierszu „Etapy moje”:

Po moim wyjściu, po wyjeździe,  
bo musiałem wyjść w pewne  
przestronne miejsce (naturze  
potrzeba przestrzeni), dostałem  
przez granicę gryps:  
Finis Patriae.

Ustronne miejsce, które jest gwarantem duchowego wyzwolenia, w poezji młodego krakowskiego poety staje się miejscem

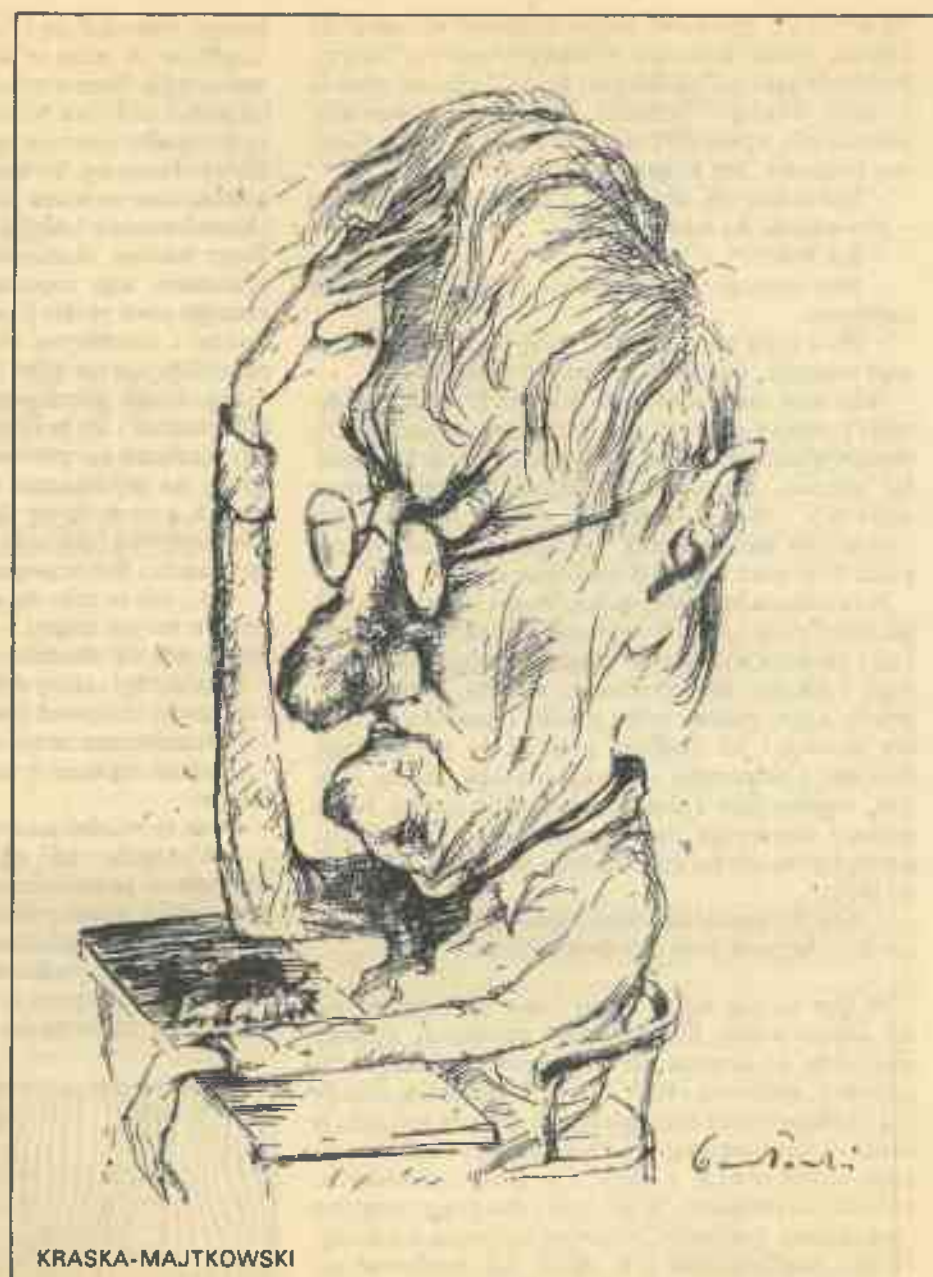
przestronnym. Jest to bowiem poezja obywatelska. Do końca, do dechy: klozetowej, grobowej...

2.

Pragnienie harmonii i jej rozbijanie (jak w wierszu bez tytułu *Niebo roz-pogadza się...*), nie kończące się opisy zetknięć z nicością, rozumianą zarówno metafizycznie jak aksjologicznie, wyznaczają przestrzeń duchową tych wierszy, ich gnoseologiczny horyzont.

Niebytem będąc  
gdzie zabytuje?

– pyta poeta w wierszu „Ty jesteś świetlistość”, a te słowa są nie tylko zręcznym poetyckim paradoksem, ale pozwalają stwierdzić, że upragnione kryterium tej poezji stanowi to, co rzeczywiste bądź Rzeczywiste (dostrzegam w tym świadectwo duchowego patronatu Miłosza, łowcy świata widzialnego i Nabokova, łowcy motyli). Przemozne pragnienie przywróconego w ruchu apokatastazy konkretnego



KRASKA-MAJTKOWSKI

JACEK GAWŁOWSKI

Poldek Kraska-Majtkowski urodził się w 1946 roku. Debiutował w piśmie „bulion”, następnie ogłaszał swoje wiersze w „Tygodniku Powszechnym”. Przed debitem książkowym.

## Łzo, duszo

W sukience zwiotczalej od deszczu  
zaraz zamarzniesz i będziesz soplem.

dogłębnie i najoczywiej materializuje się w gnomicznych zapisach:

W sukience zwiotczalej od deszczu  
zaraz zamarzniesz i będziesz soplem

– powiada poeta w stojącym na granicy milczenia zapisie „Łzo, duszo”. Jest w nim cała tradycja naszej poezji – od pierwszego polskiego wiersza o duszy, co z ciała wyleciała poprzez płacziwy liryk lozański Mickiewicza aż po męską powściągliwość Jana Polkowskiego i Bronisława Maja.

3.

Wobec takiego stopnia poetyckiej samoświadomości

Język staje.  
Kółkiem.

– jak napisał Poeta w „Podskórnym nurcie”. Ta wyrafinowana metafora od pierwszego zetknięcia się z jego wierszami (zwrócił mi na nie uwagę prof. Błoński) była dla mnie sprawą najistotniejszą. Choć często całościowy ład załamuje się,

zakłócony przez nieregularność rytmu i celowe prozaimy, młody krakowski poeta zazwyczaj trafia kółkiem (czyżby to był kółek osinowy?) w samo sedno, a tym samym w kadrze „chwilki” pozwala zamknąć „strumień wieczności”:

Po tysiącu lat, za chwilkę  
przeczytasz ten wiersz. Nie płacz  
strumieniu wieczności.

Nie będę płakać. „Zgodne w radości są wszystkie instrumenty/Kiedy poeta wchodzi w ogród ziemi” – powtórzę za Miłoszem.

4.

Poldek Kraska-Majtkowski przywraca bowiem wysoki sens słowu „powinność”. Moje pokolenie – a wszystkie nasze rozmowy o poezji w roku 82, 83, 84 kończyły się nieuchronnie i nieodmiennie pytaniem-cytatem „Cóż po poecie w czasie marnym?” – słowo „po-winność”, po jałowej całonocnej dyskusji, najczęściej łączyło z katzenjammerem.

Krytyk Pierwszy

# POLDEK KRASKA-MAJTKOWSKI

## *Ty jesteś światlistość*

Są giermkowie powietrza,  
ptaszyska krwawe;  
nie oddychaj  
(W ogóle!)

[mój biedny cieniu];

ty dla mnie zimne życie,  
On ciepłą śmierć jej niesie.  
(„Jam jest furtą bydłatka”)

Niebytem będąc  
gdzie zabytuje?

Na zmarzlinie, synku,  
na zmarzlinie.

(styczeń 1982)

## *Podskórny nurt*

(Haiku)

Język staje.  
Kołkiem.

(1968-1990)

\* \* \*

Niebo rozpogadza się, morze spokojne. Lekkie  
opary mgły  
snują się nad wyspą. Na wschód od zachodu Szewska,  
na północ Krakowskie Przedmieście, na południe Westerplatte,  
Piotrkowska na wschód od serca mego.  
Podpływa na swojej łodzi z tysiąca zespawanych durszlaków  
dziki, wstrętny, bezpotomny, spocony, krwisty, przebrzydły.  
Kłania się. Modli. No, nie!  
– A przecież tu było tak...

Statek posuwa się bardzo wolno. Pilot bojąc się o całość  
śruby okrętowej  
każe zawracać.



## *Ulice*

Kościół na Kościelnej, poczta  
i na Pocztovej znowu staję  
żeby pomodlić się za Ciebie, Ojczy  
Kardynale –  
to przecież całe tysiąclecie!  
Wspomóż mnie ojczyzno, Mameczko,  
eminencjo moja!  
Przez rynek przechodzę jakoś  
i znów składam  
przed ołtarzem siebie. Na szczęście.  
Świeżo umyty – przed  
świeżo pozłożonym.  
Zamalowanym świeżo.  
Już Kolejowa – czerwony  
kościół kolejarzy.  
A w nim przelotnie  
wszystkie dzieci świata –  
Nawrócone!  
Na peronie trzecim!

1990, Wielki Tydzień  
(po południu)

## *Temat Plemienny*

*Tak niewinnie...*  
Poeta.

Mówi szesnastoletnia:

Trzęsie się ziemia. Jadowite podziemie  
wdziera się w niebiosy.

Czterdziestoletni szepcze:

Nie wrzeszcz. Wrzeszcz. Nie wrzeszcz. Wrzeszcz.  
W moich tkankach pamięć jest głucha i nadwrażliwa.  
Przed wiekami w jądrze komórki śpisz zwinęta  
jak embrion teraźniejszości.

Chór:

*Daj, ac ja pobruszę, a ty poczywaj.*

## *Ars poetica*

Słowo przychodzi do słowa,  
patrzy, a tu słowa nie ma.

(1990)

## *Na całość*

**P**oldek Kraska-Majtkowski ma już  
w sobie coś, i to podwójnie. Z jednej  
strony sięga oczywiście do Miłosza, Za-  
gajewskiego i Maja, z drugiej – do innych  
pisarzy. W oczy rzuca się jego giętka fraza  
i duże, wrażliwe ucho. Również etos  
– oczywisty, nie budzący zastrzeżeń. To  
wszystko, rzecz jasna, bardzo cieszy. Cie-  
szy, że jest wreszcie poeta młody, a tak już  
doświadczony, poeta, rzecz zwłaszcza

dzisiaj tak istotna – łączący. Łączący  
klasykę z żywą współczesnością, współ-  
czesność z żywą klasyką, motoryzację  
z dykcją. Łączy zresztą również Krynic-  
kiego z Polkowskim, a Przybosia z całą  
bezmierną awangardą, nawet z takim  
Karaskiem. To wręcz trwała podwój-  
ność. Kraska-Majtkowski łączy w sobie  
nawet własne nazwisko. Tylko to zdrob-  
nienie imienia... Ale tak obiecującemu  
poezie można wiele wybaczyć, i – jeśli  
wolno na koniec nawiązać do jego zainte-  
resowań czysto prywatnych może się kie-  
dyś dotrze.

Krytyk Drugi





dokończenie ze s. 1

zbiorowej świadomości narodu. Dla tego celu zaopatrzyli się w ogromny pentagraf dzięki czemu kilkadziesiąt piór może poruszać się jednocześnie. W pentagramie pod kryptonimem „septogesima” siedemdziesiąt rąk mogło zsynchronizować ruch siedemdziesięciu piór. To zbiorowa mądrość narodu dyktowała grupie pisarzy-kolektywistów swoje prawa. Niestety każdy szarpał jedno z siedemdziesięciu zespolonych piór – i prawa te wymknęły się zapisowi. Jeszcze raz literatura polska stanęła obnażona przed dualizmem formy i treści. Wśród wrogów tego kierunku dominuje przeświadczenie, że kolektywiści nadają się najbardziej do malowania szlaków na drogach wielopasmowych. Z racji kolektywnego autorstwa nie możemy niestety podać koryfeusza gatunku, odsyłamy natomiast do telefonicznych ksiązek miast powiatowych.

Nawiązaniem do pięknych tradycji powinności literatury, do całej historii literatury polskiej poszerzonej o jej światowe koligacje, jest grupa artystów **miruarystów**. Swą twórczą inspirację zapożyczyli oni od *stendhalowskiego* rozumienia literatury jako zwierciadła obnoszonego po gościńcu. Grupa tych artystów próbowała początkowo podróżować z lusterkami laryngologicznymi umieszczonymi na czole, później jednak ich nurt rozpadł się na kilka zasadniczych kierunków. Primo, byli to trzej ludzie z szafą – nie potrzebujemy dodawać, że szafa była z lustrem. W tym nurcie swoje miejsce odnaleźli prozaicy: Trzeszczon, Kruszon i Łomot. Złośliwa krytyka literacka zarzuca im, że – zgodnie z angielskim przysłowiem – każdy ma swego kościotrupa w szafie. Temu faktowi poświęcił swój poemat epicki Jerzy Miażdżon, który napisał wielką parabolę pod tytułem *Dance Macabre*. Pomniejsi przedstawiciele tego gatunku, wychodząc z tejże zwierciadlanej inspiracji, oddawali się z zadowoleniem tzw. zajęczkowaniu. Przez to ostatnie rozumiemy twórcze kierowanie życia w kąć odbicia i rzutowanie go na dowolną płaszczyznę.

Znaczną rolę – jak się wydaje – ma do odegrania **poezja lingwistyczna**. W obrębie tego kierunku najmocniej zaznaczają swój byt **hiatystycy**. Zestawiają oni głoski, które powodują tzw. rozdziew, ale i proponują tematy, które bez ziewania nie dają się ani usłyszeć, ani wyartykułować. Literatura hiatystyczna ma wielką przyszłość. Przy usypianiu dzieci, napadach Rumunów na pociągi PKP, w życiu naukowym i życiu małżeńskim (tym które przeszło na drugą stronę smugi cienia). W 1938 Ostap Ortwin spowodował taki rozdziew między literaturą awangardową i spadkobiercami grup Skamandra, że między zębami wiało wichrem dziejów. Twórczość hiatystyczna ma zatem powodować rozdziew czyli hiatus, który to wywołuje sen i przenosi nas na teren działania **literatury onirycznej**.

Twórczość oniryczna jest gatunkiem ukochanym i upieszczonym przez krytyków literackich. Jak powiedział Franciszek Morfeusz – uznany mistrz gatunku – literatura oniryczna nie musi być przeżyta, nie musi być przeczytana, nie musi być nawet napisana. Musi być prześniona. Organizacja Greenpeace ostro zaprotestowała przeciwko wyko-

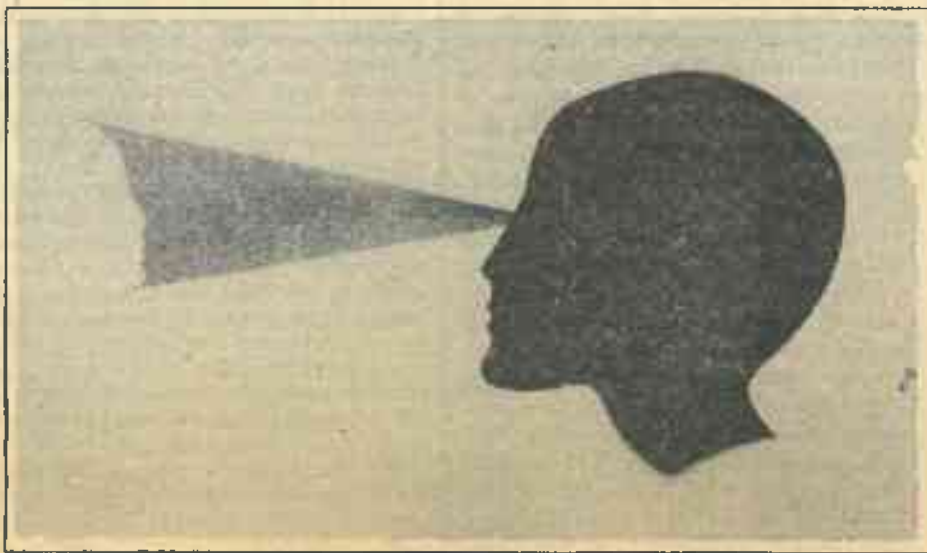
# Kosy rzut oka na literaturę

rzystowaniu onirystów do predykcji militarnych – w snach przecież widzi się przyszłość, co właśnie krwiożercze koła Pentagonu próbowały wykorzystać.

W dość mocnej opozycji do onirystów znajdują się ci, którzy na rzeczywistość patrzą z otwartymi oczami. Do ich grona należy zaliczyć Lecha Wałęsę z tekstem *Drogi nadziei*, oraz Tadeusza Mazowieckiego z tekstem *Internowanie*. Jest to specjalny gatunek literatury onirycznej, tzw. **carmina leporidae**, czyli **pieśni zajęcze** (spanie z otwartymi oczami). Nie mamy tutaj do czynienia ani z senną dowolnością oniryzmu, ani z reistyczną dokładnością planistów.

Czytelnik spyta, gdzie jest wielki blok pisarzy **szokistycznych**. Trzeba

Należy tu zwrócić uwagę na dosłowności w podejmowaniu niełatwej problematyki chińskiej oraz na postawione przed nami wszystkimi pytanie „Co z tego wynika?”, które zaprasza do jakże istotnej intelektualnej podróży. Co więcej, grupa ta dochodzi do niczym nie motywowanego twierdzenia, że również słowa mogą mieć znaczenia. Ustawianie ich w wiersze nie byłoby – twierdzą ci dogmatycy – li tylko igraszką permutacji, ale jeszcze pewną grą sensów. Miriam-Kolumna przeciwstawia się temu z całą siłą swego autorytetu, wywodząc, nie bez racji, że to, co napisane, nie może być sensowne. „Semantyści – twierdzi krakowski krytyk – dali się złapać we własną



TOMASZ SIKORSKI

powiedzieć, że wśród trendów literackich ten kierunek cieszył się ostatnio największą popularnością. Takie nazwiska jak Kryś, Świstoń, Zombek, Szewruga czy Radziwiłł kojarzą się wszystkim z wielkim przełomem w literaturze polskiej. Szokiści postanowili przeorać głęboko skroś świadomość polskich mózgow. Kierunek ten polega na niespodziewanych zestawieniach znaczeń słów (to dla literatury), barw (dla malarstwa), kształtów (dla rzeźby). Wszystko to powinno wywołać u odbiorcy wstrząśnienie (po angielsku: shock). Nikt nie może zaprzeczyć sile ekspresji *Człowieka z wyrwanym jajem* Dubkina, rzeźby, która mówi wszystko o kondycji człowieka we współczesnym świecie. Kwartet cis-Moll McDonalda na plastikowe talerze i serwetki będzie należał do tych dóbr kultury, których, mimo wszelkich przełomów, nie będzie ona mogła się pozbyć. Oda Tomasza Łubieńskiego „Boże zachowaj prezydenta” przejdzie do najlepszych wzorów zachowań **szokistycznych**.

W obrębie liryki swą obecność bardzo mocno zaznaczyli **semantyści**. Wyszli oni z założenia, że współczesna poezja może mieć – mimo wszystko – jakieś znaczenie. Prawdziwym przełomem stał się liryk Jana Kruszona:

Ene due rabe  
Połknął bocian żabę  
A żaba Chińczyka  
Co z tego wynika.

pułapkę: jeżeli coś jest zapisane – nie ma znaczeń, jeżeli coś ma znaczenie – nie może być zapisane”.

W opozycji do semantystów znajdują się – a czynne tu jest przede wszystkim środowisko wrocławskie – **asemantyści**. Śmoñtała, Brudzyński i Felton zdają się zmierzać w kierunku totalnego zaprzeczenia przekazu literackiego. Uznają bowiem – a trudno odrzucić ich argumentację – że każdy zapisany tekst musi mieć swoją sensowność i doniosłość. Tzw. wrocławska próba użycia pewnych gatunków papieru do naznaczenia ich dość specjalnym rodzajem śladów, miała wykazać, że – jak twierdzi Marshall McLuhan – „medium is a message”. Szczególnie umiłowane media to: koprografie, koprolalie, skatografie, erotalie, neurozy i socrealizm. Ponieważ wszystko ma swoje znaczenie, to nic tego znaczenia nie ma. Bojówki antysemantystów zajmują się piętnowaniem przeciwników literackich aby udowodnić, że nadawanie znaczeń jest zawsze aktem gwałtu. Wydają pismo elitarne „Pręgiarz nasz powszedni”. Uważają, że na literaturze gwałt odbywa się ogniem i mieczem, przy czym ten pierwszy ma do powiedzenia więcej ze względu na łatwopalność papieru.

Najświeższą z tendencji literackich jest tzw. **młoda proza**. Jest to kierunek, który w pełni oddaje rozchwianie jednostki spowodowane przeciągami his-

torii, niemożnością zadośćuczynienia sprawiedliwości widzialnemu światu i niską podażą piór kulkowych na rynku polskim. Jeżeli poprzednio wymienione kierunki próbowały cokolwiek wyrażać, bądź też niczego nie wyrażać, wyżej wymieniony wolny jest od tych dylematów. Nowa proza chce być przede wszystkim drukowana, bez względu na jej poziom, jej autorów, jej recenzentów. Przymiotnik „nowa” wskazuje, że nie korzysta ona z uznanych i utrwalonych wzorów, tak w obrębie języka, jak składni czy interpunkcji. Definiowanie tej literatury jako „prozy” informuje nas przede wszystkim o tym, że nie mamy do czynienia z rymowaniem żeńskim lub męskim, płytkim czy głębokim. Nowa proza nie poddaje się tak krytyce literackiej, jak i tłumaczeniu na obce języki (z wyjątkiem języka, w którym została napisana).

W opozycji do nowej prozy, jak słusznie zauważa Miriam-Kolumna, sytuuje się **proza stara**. Kierunek ten polega na naśladowaniu dobrych zastanych wzorów. Dla osiągnięcia zadowalających wyników w wyżej wymienionym procederze stosuje się następujące techniki: a) **papuga**, która przez imitację lektury przetwarza klasyka na tzw. starą prozę; b) **działalność osobista literata**, który kultuwując najlepsze benedyktyńskie tradycje przepisuje co bardziej udane kawałki, aby podpisać je swoim nazwiskiem; c) **komputer** – posiada guziki, na które można naciskać, a on może coś wydrukować.

Najjaśniejszą plamę na mapie polskiej literatury stanowią **dyskrejonści**, którzy naśladowują trop w trop wielkie dzieło Jamesa Henry’ego i których nazwisk, mimo wszelkich prób, nie dane nam było poznać. Dyskrejacja tych skromnych wyrobników pióra idzie tak daleko, że nie tylko nie wiedzą, gdzie się znajdują, jak się nazywają, co piszą, co robią, co jedzą, co piją, ale cały ontyczny gmach ich istnienia zdaje się chwiać nader mocno.

Jedyną stabilizującą życie społeczne grupą literacką są **folklorystycy**. Zorientowali się oni ostatnio na Amerykę Południową. Ich ulubioną pieśnią jest stary peruwiański przebój: „El condor pasa”. Podajemy w tłumaczeniu polskim:

Ej, przeleciał kondor,  
wydał cichy klangor,  
siwe piórka na nim zdrząły.

Jest to pieśń narodowa w formie i dewizowa w treści.

Jak pisać o najnowszej literaturze polskiej? Ponoć można nawet krótko, zwięźle i treściwie. Oddajmy jednak sprawiedliwość tym, którym nikt sprawiedliwości nie odda. Zajmijmy się ludźmi, którzy nie tylko parają się literaturą, ale i literą. Niektórzy nawet litery selekcionują. Wybierają tylko niektóre, tylko te, które im odpowiadają. Frekwencja słów na niektóre litery, np. „a”, „b” czy „c” może być pojmowana jako przyczynek do wolności słowa. Słowo – jak twierdzą ci nasi korespondenci, którzy przeprowadzali z nim wywiad – jest z tego powodu ogromnie zadowolone. Zwierzało się, że bardzo chce, by go używać, a już kto, jak i kiedy to robi, o to mniejsza.

Pozostaliśmy zawstyżeni.

Marek Karpiański

TYGODNIK  
LITERACKI 11



MARIAN KONIECZNY, *Pomnik Areopagu*, Kraków Rynek Główny. Odsłonięcie 31 listopada 1990 roku.

Na przybyciu z Kongresówki krakowski Rynek Główny zawsze czyni imponujące wrażenie. Nie masz u nas, na Mazowszu, rynku tak ogromnego (chyba że w Pułtusku). Właśnie w Ryнку Głównym wyznaczono lokalizację Pomnika Areopagu. Jakże znakomite miejsce wybrali rajcy królewskiego grodu dla monumentu! Dokładnie tam, gdzie pomnik Mickiewicza, tyle że po drugiej stronie Sukiennic. Działwa dzisiejsza nie pamięta już, kim był Adam Mickiewicz dla Polski i co uczynił dla Krakowa. Z zawodu poeta, wytyczył trzy najważ-

arkusz. Na kamiennej posadzce ogromny obszar żyznej ziemi. Leje deszcz. Deszcz pada bez przerwy. Strugi wody niechybnie rozmyłyby, zniszczyły wiatłą warstwę czarnoziemu. Wszystko, co zostałoby z tej katastrofy, to martwa, jałowa skała. Betonowe klepisko jakich wokół nas pełno. Lecz o błogosławiona przezorności! Ktoś (Opatrzność?) rozstawił nad ziemią pięć ogromnych, czarnych parasoli. Gleba ocalona w ten przemyślny sposób może kiedyś wybuchnie, rozkwieci się łąką, wyda owoce. Lecz woda niesie przecież poza zniszczeniem także siłę twórczą. Nie darmo mówi Pismo o Wodzie Życia. Aby gleba nie przemieniła się w pustynię, równie jałową jak skała, musi być zraszana.

owoce wydała synteza dwóch talentów tej miary co Kalina i Szajna.

W Hali Gwardii wokół rzeźby przechodzą tłumy warszawian oraz przybyszy z całego świata. Kontemplacja odbywa się w całkowitej ciszy, nie spotykanej nawet na innych wystawach sztuki. Cisza jest wprost niesamowita, przejmująca dreszczem. W ciszy słychać tylko jednostajny szum wody. Szu-szu-szu, szu-szu-szu. Szum, gdy się weń wsłuchać, staje się nieprawdopodobną muzyką, kaskadą dźwięków godną najpierwszych filharmonii. Wartę honorową przy pomniku trzymają na zmianę – studenci polonistyki uniwersytetu i studentki Akademii Sztuk Pięknych. Wśród zwiedzających dostrzegam

Wojciech Tomczyk

# Areopagowi sława i chwała !!!

niejsze szlaki narodowych wędrówek – na Krym, na Zachód oraz do Turcji. Zasługi Mickiewicza nie są bagatelne – godny to zatem sąsiad dla Naszego Areopagu. Już w kilka godzin po odsłonięciu Pomnika krakowianki przystawały w grupkach i pojedynczo, kręciły uroczymi główkami, nie mogąc się nadziwić, że tyle czasu tolerowały pustkę w tym miejscu. Bez wątpienia pomnik Areopagu wkrótce stanie się symbolem Krakowa, obok Wawelu, Sukiennic czy Nowej Huty. Legendarne kwiatki krakowskie możolnie wertowały *Żywoty świętych* księdza Skargi w poszukiwaniu świętego Herlinga, by i w tym dniu móc składać tradycyjną wiązanek kwiatów.

Spójrzmy jednak, okiem Waszego najlepszego przedstawiciela, na pomnik. Centralną figurę stanowi Artur Międzyrzecki. Siedzi, niczym Kopernik Mikołaj (wstrzymał-ruszył) na placu przed Instytutem Badań Literackich. Lekko pochylony czyta książkę. Na okładce z łatwością odczytujemy tytuł: Rafał Grupański – *Poezje*. (Czyżby Międzyrzecki nosił się z zamiarem dokonania przekładu na nieśmiertelny język Moliera?). W prawej ręce dzierży dzwon. Jest to kolejny krakowski dzwon słynny na cały świat. Przyjaciół Zaczarowanego Dorożkarza – Zaczarowany Koń – twierdzi, że jego (dzwonu) spiżowy ton usłyszymy w chwili wydania setnego numeru „Tygodnika”. Niżej podpisany ma niejasne przeczucie, że dzwon zabrzmiał wcześniej. Dwie kolejne figury to Ryszard Przybylski i Jan Józef Szczepański. Stoją twardo, obaj w rzymskich togach, umieszczeni po lewicy i prawicy Międzyrzeckiego, niczym Tacyt i Seneka przy tronie umiłowanego cesarza. Prezesowi Szczepańskiemu Mars radli czoło, Przybylski zaś z troską patrzy w niebo nad Krakowem. Jakże cudownie lśniłyby w słońcu Ich pozłacane wieńce laurowe. Niestety z przyczyn podkreślonych grubą kreską, nad Krakowem niebo nigdy się nie przejaśnia.

Wreszcie dwie skrajne figury – obie konne. Po lewej – galopuje Gustaw Herling-Grudziński, Mąż straszny, w znakomicie skrojonej zbroi. Jego rumak (wzorowany ponoć na słynnym ogierze Brochwicz, po Jaguarze i Bognie – zimowym faworycie na Derby) tratuje czterech czekistów. Wreszcie Jan Błoński: czoło ma piękne, łagodne. Na czole błyszczy myśl o szczęściu „Tygodnika Literackiego”. Unosi poważnie rękę, jak gdyby miał błogosławić rzeszę czytelników. Drugą rękę opuścił na wodze. Ukróca swego rumaka zapędy. Wzdyma koń grzywę, z oczu świeci żarem. Lecz wie, że niesie najmilszego z gości – ojca milionom arcydzieł. Sam wstrzymuje ogień swego temperamentu. Tak to mniej więcej wygląda. Na cokole inskrypcja – Areopagowi – „Tygodnik Literacki”. Niżej – „Tygodnikowi Literackiemu” – Naród. Jeszcze niżej – Narodowi – Wdzięczne Mniejszości. I tak dalej...

Również wewnątrz cokolu zostało pomysłowo wykorzystane. Jest to pewnego rodzaju novum w polskiej tradycji pomnikowej. Wierzynek urządził tu przytulną kawiarenkę na trzysta sześćdziesiąt miejsc (obsługa w tradycyjnych strojach huculskich). Krakowscy plastycy oferują portrety członków Areopagu). Uwaga! Przy zakupie co najmniej trzech Archontów znaczne rabaty). Wieczorem do tańca – raz dokoła, raz dokoła – przygrywają basetla i dudy. W nocy zaś Anna Polony recytuje wiersze Jana Polkowskiego i Juliana Przybosa. Na miejscu można też skorzystać z telefonu.

## II

JERZY KALINA, JÓZEF SZAJNA, *La fille mal garde*, Instalacja. Florencja, Piazza della Signoria.

Ziemia, ziemia, ziemia – płasko, daleko. Płaszczyzna wielka, pusta i otwarta, jak do pisania zgotowany

Z wodą źle, bez wody nie lepiej. I tu znalaziono złoty środek. Ktoś (Opatrzność?) sprawił, że parasole nie są zbyt szczelne. Padają na spragniony ugor ożywcze krople. Pięć ogromnych parasoli – czarnych kruków – ptaków opiekuńczych nie dopuszcza do zatury życia. Pierwszy parasol wzrusza nas swą strzelistą formą. Drugi wrażenie podwaja. Trzeci – potraja. Czwarty – poczworza. Piąty też dodaje swoje. Płótno każdego odmienne jest, różne mają rączki i rozmaite ich mechanika. Mimo to stoją zgodnie, w poczuciu obowiązku osłaniania. Wszystkie po równo promieniują ojcostwem. Dumne parasole strzelają w niebo wskazując drogę małuczkim.



ADAM HOFFMANN

Równie ważna jest ziemia. Autorzy Dzieła zebrali ją niezwykle starannie – z pól Nowogródka i Sycyny. Przywieziono też ziemię znad stawu w Oblęgorku, wreszcie – specjalnymi ciężarówkami dostarczono próchnicę z parku w Oborach. Z tej łąki będzie chleb. Uważny obserwator może już dziś dostrzec pierwsze kielkujące pędy.

Kalina i Szajna rozsiali nasiona wszelkich roślin – ziarno czterech zbóż trawy, pietruszki, winorośli. Drzemią w glebie ponoć także laur, żołądźce dębowe, bambus a nawet baobab. Co z tego wzejdzie? Nie wiadomo. Na razie czekamy na wiosnę.

Drugi pomnik Areopagu – Instalacja *La fille mal garde* – przed przewiezieniem do Florencji wystawiono dla publiczności w warszawskiej Hali Gwardii. Nawet przysięgli przeciwnicy sztuki nowoczesnej nie mogą oprzeć się ogromnemu wrażeniu jakie wywiera. Zachwyca i porwya. Prosta, niewyudumana metafora, doskonała kolorystyka, monumentalizm, wreszcie właściwa arcydziełom jedność formy i treści, sprawia, że Dzieło to bezwzględnie wyprzedza swój czas. Oto jakie

przedstawiciele bratnich Areopagów – Grahama Greena, Maxa Frischa, Gabriela Garcíę Marqueza z małżonką, Konstantina Simonowa. Zjawili się przedstawiciele duchowieństwa. W zastępstwie biskupa Alojzego Orszulika przybył ksiądz Jak Twardowski. W zastępstwie księdza Jana Twardowskiego (zastępującego biskupa A.O.) przybył ksiądz Wiesław Niewęglowski. Przybyli też przedstawiciele rozmaitych innych wyznań. W Księdze Pamiętkowej pozostawił gorący wpis Ogólnopolski Szaman Woo-doo. I on, jak wszyscy, obejrzał pomnik w milczeniu. Tylko woda szumi. Wzruszając.

Na wiadomość o przyznaniu Florencji lokalizacji drugiego Pomnika Areopagu, w mieście zapanowała euforia. Decyzję oznajmił w wieczornym dzienniku łamiącym się ze wzruszenia głosem burmistrz stolicy Toskanii – Don Vittorio Vallachi. Tłumy florentyńczyków natychmiast wyległy na ulice, by odtańczyć tradycyjne cattenacio, które nad ranem spontanicznie przerodziło się w regularne quattroceto. Raz dokoła! Na szczęście nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń. Florentyńczycy całowali się, padali sobie w objęcia. Nieznajomi zawierali przyjaźnie, nawet małżeństwa.

„Nareszcie nasze miasto stanie się sławne na cały świat” – powiedział mi w sekrecie znajomy właściciel przytulnego Hasta Maniana na placu Piazza della Signoria. Tam właśnie w nocy ściągnęły największe tłumy mieszkańców miasta. To tam stanie *La fille mal garde*. Szczególne miejsce. Godne arcydzieł. Plac ogromny, renesansowy (jak wszystko we Florencji). Opowiadają, że w nocy na Piazza della Signoria można zobaczyć uciekającego w popłochu mężczyznę w surducie. Za nim podąża zamaskowany młodzieniec z obnażoną szpadą. Istny bravi. Mówią, że to Lorenzo di Medici zwany Lorenzacciem ściga swego autora Alfreda de Musset. Co noc de Musset uchodzi pogoni i co noc Lorenzaccio wszczyna na nowo swój pościg. I takie przykrości spotykają autorów na tym, a zwłaszcza na tamtym świecie. Oczywiście autorom „Tygodnika Literackiego” podobne kłopoty nie grożą. Ani takie ani żadne inne. Nad nimi rozpiął swe ochronne parasole Areopag. Szu-szu-szu.

## III

*Młyn Niepokonany*, rzeźba WŁADYSŁAWA HASIORA, Warszawa – Bemowo, ukończona, grudzień 1990.

Na ogromnym polu ciągną się kilometry skoszonych wiatraków. Połamane śmigła, poprzębijane włóczniami korpusy. Krajobraz po bitwie. W wielkiej bitwie, jaką Areopag stoczył o to, co ani zmierzone, ani zważone być nie może – o Imponderabilia. Pobojuwisko – świadectwo ogromnej pracy. Niegdyś dumne i pyszne, dziś wiatraki leżą obalone i poniżone. Na wschód ciągną się młyny rozbite przez Areopag w walnej bitwie o przynależność do basenu śródziemnomorskiego. Na zachód ciągnie się pobojuwisko wojny o słowiańską tożsamość kulturową. Na północy widoczne jest przedmurze chrześcijaństwa. Na południu leży rozbita w proch i pył grafomania. Wielka i okrutna. Ta, która żerowała na najniższych instynktach, i ta, która żywiła się świętościami. Rozbite pospolite ruszenie, zjednoczone pod sztandarem ohydy.

Lokalizację pomnika władze miasta stołecznego Warszawy wyznaczyły nader trafnie. Jest to godne podkreślenia, wobec narastającej wokół krytyki poczynił prezydenta Wyganowskiego i jego ludzi. Tym razem trudno byłoby sobie wyobrazić cenniejszą decyzję. Po pierwsze tereny dawnego lotniska wojskowego na Bemowie są wystarczająco obszerne nawet dla artysty tak wymagającego jak Władysław Hasior. Po wtóre – miejsce ma swe znaczenie symboliczne. To stąd w noc grudniową heli-

dokończenie na s. 14

TYGODNIK  
LITERACKI 13



ANDRZEJ KARPIŃSKI

dokończenie ze s. 13

koptery uwiózły polskich intelektualistów do obozu internowania w Jaworzu. To stąd uleciał w nieznane (konkretnie do Arłamowa) od niedawna Miłościwie Nam Panujący. Łza się w oku kręci. Głównym akcentem wertykalnym – w odróżnieniu od horyzontalnie ułożonych wiatracznych truchel – jest Diabelski Młyn. Olbrzymie, blisko stumetrowej średnicy koło miele wiatr. Ma pięć ramion – na końcu każdego figura symbolizująca jednego z Archontów. Młyn obraca się, każda z figur raz jest w górze, raz w dole. Tak zegar dziejów odmierza czas polskiej literatury. Raz w górę, raz w dół. Taka jest kolej rzeczy. „Albo – albo”, jak powiada filozof. Wzloty nieuchronnie przeradzają się w upadki. I nawzajem. Raz dokoła, raz dokoła! Przecież to my Polacy wynaleźliśmy koło. I nawet gdybyśmy nic innego nie wnieśli (a wnieśliśmy przecież) to mogliśmy się sycić i spoczywać. Lecz nie ustajemy w pracy. Tak jak nie ustaje niestrudzony Niepokonany Młyn Bemowski.

Ryszard Przybylski wyobrażony jest jako Pegaz zrywający się do lotu i wzbija się, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Za nim sunie Gustaw Herling-Grudziński przedstawiony jako wielki chiński abażur. Jakież to trafne! Przecież to On, gdy krajowi autorzy śpią, czuwa niestrudzenie kontynuując swój *Dziennik pisany nocą*. To Jego praca zapewnia ciągłość literaturze polskiej. Nad ranem czasu europejskiego, gdy Herling-Grudziński kończy swą pracę, zaczynają tworzyć pisarze polscy zamieszkali za Wielką Wodą – Miłosz, Barańczak, Głowacki. Koło się zamyka! Jeszcze jedno Koło! Artur Międzyrzecki to pióro Watermanna olbrzymich rozmiarów. Takim piórem pisali Tytani swą nieśmiertelną Sagę czerpiąc inkaust z granatowych wód Skamandra. Dalej Jan Błoński przedstawiony jest jako Jan Błoński naturalnych rozmiarów. Wreszcie Jan Józef Szczepański. Przedstawiony został jako plac Szczepański w Krakowie. Przez jasne okna Zachęty możemy rozpoznać krzywo wiszące obrazy. Możemy policzyć kostki bruku. Plac odtworzony został z niezwykłym pietyzmem. Wieczorem zapalają się światła w małym Starym Teatrze. Możemy zobaczyć jak wejściem dla aktorów wchodzi mautki Jerzy Trela. Możemy usłyszeć, jak w małej salce recytuje *Małą Improwizację* dla małutkich widzów. Potem widzowie zakładają swe płaszczyki i rozchodzą się małutkimi kroczkami. A mautki Jerzy Trela wychodzi z teatru i wchodzi do małutkiego Spatifu na małutką wódeczkę. I my idziemy wraz z nim. Koniec. Bomba. Trąba.

Wojciech Tomczyk



JAKUB RAKUSA-SUSZCZYŃSKI

## Hommage dla papieża dyskrecjonizmu

Życie literackie Stanów Zjednoczonych poniosło niepowetowaną stratę. 4 listopada zginął śmiercią samobójczą James Henry, twórca i najwybitniejszy przedstawiciel dyskrecjonizmu, kierunku, który zdaniem krytyki był najciekawszą – obok intymizmu – tendencją prozy ostatnich dwudziestu lat naszego stulecia. „Maryland-New York Herald Tribune” z 7 listopada zamieszcza wspomnienie o pisarzu. Obok artykułu Martina Bailey-Smitha VI znajdujemy tu zupełnie pusty nekrolog, obwieszony czarną ramką – najbardziej odpowiedni wyraz hołdu dla słynnego dyskrecjonisty, którego hasłem było przez całe życie: nie wyrażać siebie.

James Henry urodził się w rocznicę Święta Niepodległości, 4 lipca 1920 roku w Baltimore, stan Maryland, pod wpływem Raka i Koziorożca. Całe jego życie było odtąd naznaczone piętnem wydarzeń historycznych, aż do tragicznego końca. Pochodził z rodziny arystokratycznej. Jego przodkowie chlubili się tym, że ich

nywalny jedynie do Joyce'owskiego wolnego strumienia świadomości. Rewolucyjność dokonań dyskrecjonistycznych Henry'ego poszła jeszcze dalej. Zainspirowany dokonaniem francuskiej antypowieści, postanowił przenieść je na grunt amerykański. Od antypowieści przeszedł do antysensowności. Konsekwencją ostateczną stał się dyskrecjonizm.

Kolejne powieści Jamesa Henry'ego pozostaną na zawsze tajemnicą, której szczegóły autor zabrał do grobu. Składały się bowiem z niezadrukowanych, nienumerowanych kart, nie wiadomo także, w jakiej liczbie egzemplarzy je wydawano i ile ich w ogóle było. Zarzucono czasem pisarzowi, że łamał swe niezłomne zasady umieszczając na zewnętrznej stronie okładki napis PE-96-III-A5 1 BN 70/7383-07. Liczne próby rozszyfrowania owej inskrypcji nie doprowadziły do zadowalających rezultatów, choć jest nadzieja, że zaangażowani w tę pracę ostatnio specjaliści FBI i CIA oznajmią światu przesłanie pisarza.

Podobno James Henry miał żonę i dwoje dzieci, do których ojcostwa wszelako się nie przyznawał. Jest to kolejny przykład konsekwencji stosowania w życiu zasad estetycznych. Wielkość Jamesa Henry'ego polegała na całkowitej jednokładności życia i sztuki. Zasada ta stała się zresztą przyczyną jego śmierci. A śmierć to, jeśli pamiętamy życiorys i dzieje rodziny Henrych, ironiczna. James zadławił się bowiem nogą indyczą spożywaną w Święto Dziękczynienia, upamiętniające przetrwanie srożej zimy przez pielgrzymów z Mayflower i zjedzenie przez nich pierwszego wiosennego indyka w Nowym Świecie. „Washington Postmortem” z 5 listopada tego roku wbił się na zawsze w świadomość Amerykanów trzyspaltowym tytułem: „Dyskrecjonizm stanął mu kością w gardle!”

*Non omnis moriar* – mógłby o sobie rzec James Henry. Choć bowiem twórcy nie stało, trwa jego dzieło. Mamy też portret pisarza przechowywany z czcią w Muzeum Guggenheima. Jest wprawdzie utrzymany w manierze abstrakcyjnej, niemniej jego twórca, Jasper Jones, stosując barwy: białą, szkarłatną i błękitną wyraźnie zaznaczył, że uważa Jamesa Henry'ego za symbol amerykańskiego ducha, jego niezłomności i trwałości. Istnieje też projekt, by pomnik Jamesa Henry'ego wykuty z białego marmuru przez słynnego indiańskiego rzeźbiarza znanego Orinoko, Szarego Bobra, ustawić u wejścia do portu w Baltimore na wzór Statui Wolności.

Biografia pisarza, jak widać na przykładzie Jamesa Henry'ego, może być niezwykle przydatna do analizy jego dzieła. Tego zdania jest prof. Cobeson z Yale University, badacz twórczości pisarza. Kontrkulturowe pismo „Baltimorean Artisan” z 28 listopada vol. V wręcz oskarża Cobesona, iż stał się nieświadomie przyczyną samobójstwa Henry'ego. Jak było naprawdę? Otóż z tego co wiadomo, prof. Cobeson wygłosił na uniwersytecie w Pitchmond, przebywając tam jako *visiting lecturer*, wykład o prozie Jamesa Henry'ego, gdzie po pierwsze, dowodził, że pisarz jako dziecko wykonał parę zupełnie sensownych z punktu widzenia lingwistyki napisów w toalecie publicznej. Po drugie, w referacie jego znalazło się następujące zdanie dotyczące ostatnich powieści: „Co prawda wersów tej książki nie daje się czytać, ale daje się czytać między wierszami”. Dodał przy tym, że w niezadrukowanej książce zasada ta obowiązuje tym bardziej. Po trzecie, cytując McLuhana stwierdził: „Skoro środek przekazu jest przekazem, samo wydawanie książek też nim jest”. Ta dyskredytacja fundamentalnej zasady dyskrecjonizmu musiała tak głęboko dotknąć pisarza, że zdecydował się na rozwiązanie ostateczne.

Dobrze, że nie zdołał usłyszeć ostatniej z blasfemii prof. Cobesona wygłoszonej w sposób jakże nietaktowny w czasie pogrzebu w jego rodzinnym Baltimore, i natychmiast podchwyczonej przez wszędobylską prasę: „Powieści Jamesa Henry'ego zawierają treści, czy on sam chciał tego, czy nie chciał” – miał powiedzieć Cobeson. Równoznaczne jest to z oskarżeniem papieża, iż nie wierzy w Boga. Skandaliczna aura towarzyszyła więc ostatniej drodze pisarza, który całe życie poświęcił niewyrażaniu osobowości, stając się symbolem dla tysięcy Amerykanów, emanacją wolności amerykańskiej, prawa do dyskrecjonizmu, do niewyrażania siebie. „Składamy hołd jego pamięci, acz ironia losu zabarwiła całe zdarzenie nutą groteski” – kończy swój artykuł Martin Bailey-Smith VI. Cóż, zaiste.

Hanna Bałtyn

Znikający punkt

JACEK GAWŁOWSKI

protoplastą był jedyny na statku „Maryland” niemowa – *si non e vero, e bene trovaro*. Rodzina Henrych tym zapisała się w annałach amerykańskiej historii, że nie zapisała się niczym. Ojciec Jamesa zadbał nawet o to, by nazwisko jego nie figurowało w książce telefonicznej. Nic dziwnego, że chowany w takiej tradycji chłopiec do siódmego roku życia nie mówił, a potem – nie zechciał pojsć do szkoły powszechnej i opierał się wszelkiej edukacji. Po wczesnym zgonie rodziców odziedziczył znaczny majątek i zaczął pracować jako pucybut, stając się tym samym antyfigurą tak zwanego *american dream*. Doszedłszy jednak do wniosku, że czyszczenie butów jest zbyt określonym wyrażaniem siebie, zaniechał stopniowo tej profesji. Najpierw czyścił buty niedokładnie, potem porzucił zawód w ogóle, obity przez niezadowolonego klienta.

Poszukując dziedziny życia, w której można dać z siebie najmniej ekspresji, wybrał literaturę. Jego słynna trylogia *No, Nothing i Nothing at All* została wydana w 1945 roku i z powodu ogólnej euforii – po wygranej przez Amerykę II wojnie światowej w Europie – przeszła niezauważona, ku wielkiej radości twórcy. W pierwszym tomie James Henry zrezygnował z dużych liter, w drugim pożegnał się na zawsze z interpunkcją, w trzecim zaś zaniechał czynienia jakichkolwiek odstępów między poszczególnymi literami, uzyskując ciąg znaków porów-

Tadeusz Komendant

## Żółty dom

albo o wyższości  
(Stana Tymińskiego  
nad Mario Vargas Llosą)

### Za mottanie

Każdy przywoity tekst powinien mieć jakąś dedykację (to za nami) i motta. Oto one:

Motto pierwsze: „Dlatego trzeba udostępnić możliwość startu w wyborach jednostkom poza partiami politycznymi. Najlepszym przykładem jest to, co się stało w Peru. Do fotela prezydenckiego startowało dwóch ludzi. Jednym z nich był bardzo znany pisarz, który miał poparcie tradycyjnej partii politycznej i wydał na wybory sześćdziesiąt razy więcej niż jego przeciwnik. (...) Mario Vargas Llosa i partia, której był kandydatem, wydali na propagandę wyborczą straszliwie dużo pieniędzy, około 12 milionów dolarów. (...) Zabrakło mu tylko zaufania społecznego”. Cytat pochodzi z książki Stana Tymińskiego *Święte psy*.

I motto drugie, z *Iwanowa* Antoniego Czechowa, w oryginale: „Słuszaj, Matwiej, dogoworiszia ty do tego, czto tiebie, izwieni za wyrażenie, w żółtyj dom swiezut.” Dał znaczenie „żółtego domu” wyjaśnia następująco: „dom umaliszonnych, ot żółtoj okraski obuchowskoj bolnicy w Pieterburgie”, a A.I. Mołotkow, redaktor rosyjskiego słownika frazeologicznego: „bolnica dla duszewnobolnych”, i każe porównać to z hasłem „sumaszedszyj dom”.

W rozwięciu między tymi mottami (Michel Foucault nazwałby to z francuska: *pli*) rozgrywać się będzie nasza zamottana odyseja. Uprzedzając wnioski chciałbym już teraz podkreślić, że powtarzanie fonemów spółgłoskowych nie jest objawem jankania, najdowodniej świadczą o tym powtarzalność fonemu l w nazwisku naszego głównego bohatera: Llosa.

Jakobson by się uśmieł. Dostrzegłby w nazwisku jego przeciwnika powtarzalność różnych form gramatycznych zaimka JA. Ty mi. Ty mi – ale co? I gdzie jest ja?

### Czemu mnie nie lubisz?

Wśród wielu innych tabu, których respektowanie jest świadectwem przejścia od stanu natury do stanu kultury, istnieje tabu żywieniowe. Linia podziału pokarmów na czyste i nieczyste różnie przebiega w różnych kulturach: i tak na przykład psy, których nikt u nas nie włoży do garnka – i w tym sensie są „święte” – stanowią przysmak kuchni koreańskiej. Choć jest to ciekawa orientacja geograficzna, trudno byłoby zjadaczy wietrzowiny, którzy marzą o drugiej Korei, zachęcić do delektowania się na przykład szarańczę. Widzowie filmu Woody Allena o złotych latach radia być może nie wiedzą, dlaczego ciocia bohatera z godnością przyjmuje rewelacje swojego męża o tym, co zjadł u komunizujących sąsiadów-Zydów podczas (nie pamiętam dokładnie, a nie byłem w stanie sprawdzić w żadnej bibliotece, bo nasza kultura jest kulturą książkową, jak gdyby nie zdawała sobie sprawy z rewelacji McLuhana i istnienia telewizji kablowej nawet w Iquitos) podczas Iom-kipur: kotlet schabowy i sałatkę z krewetek; mdleje dopiero na wieść, że na deser był pudding, a jest to przecież pogwałcenie talmudycznej zasady wywnioskowanej z jasnego przepisu Mojżeszowego: „Lo sewaszel gedi bechlaw imoi”, co znaczy „nie będziesz gotował jagnięcia w mleku swojej matki”. Por. *Przewodnik judaistyczny obejmujący kurs literatury i religii*, skreślił Hilary Nussbaum, Warszawa, druk S. Orgelbranda Synów, 1893, s. 287.

Siostry, poddając indiańskie aborygenki w głębi amazońskiej dżungli procesowi kulturalizacji (a sprwadza się to do narzucenia europejskich miar, jak gdyby Sévres można było przenieść do Sta Maria de Nieva

Ryszardowi

Nyczowi

znawcy

dekonstrukcji

Janowi

Stanisławskiemu

twórcy

mniemanologii

stosowanej

– niczym europejską Operę, o nieświadome uczennice Fitzgeralda z filmu Herzoga!) stawiają swoim wychowanicom na początku wymogi żywieniowe. Bonifacja z *Zielonego domu*, która złamała to tabu, strofowana jest następująco:

– „Biegałaś do ogrodu, grzebałaś w ziemi i jak tylko znajdowałaś jakiegoś robaka, wkładałaś go do ust – powiedziała Matka Przełożona. – Wciąż chorowałaś, a kto cię leczył i doglądał? Też nie pamiętasz?”

Bonifacja, aby wyrwać się z atmosfery spolegliwej opiekuńczości narzuconej przez obce normy kulturowe, zaczyna jeść wszy: „I ona także zaczęła jej szukać we włosach i nie wzbudzało to w niej wstrętu, Matko, i każdą, którą wyśkała, rozgryzała”. Bonifacja nie może zjeść wszystkiego, ale zjada przynajmniej połowę. Jej gastronomiczny gest porównywalny jest z determinacją Ezechiela i świętego Jana – oni zjadali księgę zawierającą wszystko, ona, negując europejski porządek, rozgryza wszy.

Tak dokonuje się inicjacja, pozwalająca odrzucić europocentryzm i wejść na wyższy poziom duchowego rozwoju. Stan Tymiński poddał jej się świadomie – tak pisze o tym w *Świętych psach*:

„W moich podróżach po dżungli znalazłem się pewnego razu na granicy śmierci głodowej. Musiałem nauczyć się jeść żywe mrówki i gąsienice z drzew palmowych. Byłem tak głodny, że kiedy mój indiański przewodnik pokazał mi, jak jeść, natychmiast się na to zdecydowałem. Były tłuste, miały smak masła. Najpierw trzeba je było rozciąć paznokciem, aby wyciągnąć ze środka płyn, a potem wkładało się je do ust i wysysało tłuszcz. Każda gąsienica dawała wystarczającą ilość kalorii, aby móc iść dalej przez następne dwie godziny.”

Konsekwencją złamania tabu żywieniowego jest przyrost sił duchowych. Kultura europejska znajduje się w fazie agonicznej: „W społeczeństwie, w którym zabilismy naszych bogów, pochowaliśmy duchy naszych przodków, odeszliśmy od naszych rodziców, opuściliśmy naszych przyjaciół – już nie wiemy, czego się trzymać”. Stan Tymiński nie pozostawia sobie i nam złudzeń: Niezscheańska rewelacja o śmierci Boga jest prawdą, jesteśmy ostatnimi z ludzi, człowieka trzeba przeskoczyć i stać się nadczłowiekiem. Jak indiańscy szamani widzieć dalej i więcej. „Wódz plemienia indiańskiego od małego poddawany jest wieloletniemu kształceniu charakteru, przechodzi przez wiele kolejnych wtajemniczeń, aby mógł rozbudować swoją psychikę i zdolności duchowo-telepatyczne. Powinien umieć wskazać szczepowi, jak zdobywać pożywienie, przeczuć nadchodzącą porę deszczową, aby szczep zdołał się do niej przygotować. Musi umieć wyczuć niebezpieczeństwo napaści ze strony innego szczepu, który się do niej przygotowuje w odległości dwustu czy trzystu kilometrów.”

Książka Stana Tymińskiego jest radykalnym oskarżeniem kultury europejskiej. W swej bezkompromisowej krytyce Tymiński podąża śladami Fryderyka Nietzschego, Antonina Artauda i Krystyny Sienkiewicz, która jeszcze w latach sześćdziesiątych śpiewała na cześć myśli nieoswojonej:

Coś ten wierszyk taki  
Jakiś bardzo głupi...  
Pójdę jeść robaki  
Czemu mnie nie lubisz?

A Mario Vargas Llosa, choć Peruwiańczyk, na pewno nigdy robaków nie jadł.

*Vermis – verum – verbum*

Choć obaj zmiierają do prawdy (*verum*), Mario Vargas Llosa sytuuje ją w obrębie słowa (*verbum*), Stan Tymiński natomiast – w zgodzie z naszą tradycją romantyczną, por. świat owadzi w *Dziadach* Mickiewicza – umieszcza ją w robaku (*vermis*).

Słowo w obrębie naszej kultury europejskiej pełni funkcję zasadniczą i fundamentalną. Ono jest zwornikiem naszych wysiłków poznawczych, gwarantem ładu. Ono przenika nasze sny, nasze ciała, nasze książki. Ono wprowadza w obręb świata rzeczywistość bądź projektowaną jedność.

Istnieją – powiadają Gilles Deleuze i Feliks Guattarii w *Rhizome* (polski przekład w: „Colloquia Communia” 1988, 1-3) – trzy typy książki. Pierwszy należy bezpowrotnie do przeszłości, bo rozpadło się podtrzymujące ją wyobrażenie o rzeczywistości. To książka-korzeń palowy, będąca odbiciem drzewa-świata, łączącego ziemię i niebo. Książka rządzi zasadą jedności, idealna reprezentacja świata, gdzie to, co subiektywne można pogodzić z tym, co obiektywne i uzyskać zgodność rzeczy z intelektem. Współczesność preferuje inny typ książki; w metaforycznym języku autorów jest to książka-korzeń wiązkowy. Choć zanikły wielkie idee, choć żadna oś kosmiczna nie łączy już ziemi i nieba, zasada przedstawienia pozostaje w mocy: „Świat stał się chaosem, ale książka pozostała obrazem świata, chaos-mosem-korzonkiem zamiast kosmosem-korzeniem”. Zasada jedności – choć inaczej – obowiązuje i tu: jedność przedmiotu jest niemożliwa, bo przypadek i entropia zajęły miejsce Wielkiego Mechanizmu, tym bardziej przeto liczy się ten, kto wyruszył na poszukiwanie niemożliwej jedności przy pomocy projekcji subiektywnych sensów bądź władzy wyobraźni. W postaci autora, w zaimku „ja” znalazła ostatnie schronienie wygnana skądinąd jedność. Na tym założeniu wspiera się modernistyczny projekt literacki, a pisarstwo Mario Vargas Llosy mieści się całkowicie w obrębie tego projektu.

Istnieje wreszcie trzeci typ książki, książka-kłącze. Tu nie ma uzurpacji zaimka ja, każda droga może się krzyżować z dowolną inną. Nie ma środka, nie ma peryferii, ponieważ kłącze jest potencjalnie nieskończone. Nasz świat – przekonują nas o tym postmoderniści, np. Serres, Derrida, Lyotard – ma strukturę kłącza. „Krzewienie się rzeczywistości odbywa się teraz bez siatek – pisał Michel Serres. – Rzeczywistość-chmura jest pozbawiona arche, owego residuum idealizmu, które nazywano kiedyś *ratio*, a w istocie jest ono tylko siedzibą władcy bądź jego ukazem.”

Robak jest zwierzęciem an-archicznym. Podgryza korzenie palowe i korzenie wiązkowe. Natomiast przenikając kłącza zarysowuje w nich tylko kolejne linie napięć; pomnaża wielość. Robak – to emblematyczne zwierzę postmodernizmu.

Nie przypadkiem zatem Stan Tymiński na drodze do prawdy zjadał nie książki, ale robaki. Dzięki temu mógł nam ofiarować pierwszą polską książkę postmodernistyczną.

### Nomadologia Stana Tymińskiego

Postmodernistyczna myśl Stana Tymińskiego ma wiele wspólnego z nomadologią Deleuze’a – Guattariego. Nie tu miejsce, by ten projekt wymierzony w uzurpację maszyny państwowej, tłamszący wielość w imię zawsze wątpliwej jedności, projekt przywracający prawa zapoznawanej przez każdą myśl osiadłą różnicy, w tym miejscu poddawać analizie. Zainteresowanych odsyłam do artykułu Bogdana Banasiaka „Ogród koczownika. Deleuze – rizomatyk i nomadologia” w cytowanym numerze „Colloquia Communia”.

Pragnę jedynie zwrócić uwagę na zadziwiające podobieństwo postaci nomady i partyzanta, który jest pozytywnym bohaterem książki Tymińskiego. Partyzant nie jest doktrynerem, to znaczy nie respektuje zasiedziały norm; wnika w luki rzeczywistości, dąży do opanowania coraz to nowych jej sfer. W tej wojnie jego przeciwnikiem jest urzędnik państwowy reprezentujący myśl osiadłą, to znaczy system. Partyzant jest wrogiem każdego systemu, bo wie, że każdy system, poprzez zakładaną czy projektowaną zasadę hierarchiczności, wcześniej czy później doprowadzi do totalitaryzmu. A myślenie Tymińskiego jest, jak sama rzeczywistość, anarchiczne w etymologicznym sensie, pozbawione arche:

„Amerykanie mogliby wygrać wojnę w Wietnamie, gdyby przekonali Vietcong, że powinni wysłać swoich oficerów do akademii wojskowych USA, aby tam nauczyli się walczyć”.

My, czytelnicy Barthesa, Kristevej, Lacana, Derridy, Deleuze’a, Foucaulta nie możemy mieć wątpliwości. On jest jednym z nas, kontynuuje to, co najbardziej wywrotowe, co miało największą siłę dekonstrukcyjną w humanistyce lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Dlatego tylko ludzie lekliwi i małego ducha mówić będą, że gdy z Białego Domu robi się Żółty Dom powstaje Zielony Dom, czyli – jak wiedzą czytelnicy Vargas Llosy – burdel.

TYGODNIK 3  
LITERACKI 3

Ostatnio coraz częściej słyszy się o sensybilizmie, jako jedynym oryginalnym, niezależnym i miejscowym ruchu awangardowym w Polsce. Nie został on sprowadzony z zagranicy, a wprost przeciwnie, wyprzedził o dobre kilka lat happeningi i Kantora. Sensybilizm był jedynym kierunkiem w polskiej sztuce, w którym nie popełniono błędów dogmatycznego ograniczania swojej świadomości ani zasięgu działania, pozostawiając swobodę twórczego samostwarzania się.

Czy mógłby Pan jako twórca sensybilizmu przybliżyć współczesnemu odbiorcy prawdziwą historię i zasady tego ugrupowania?

określony dzień, a moi nowi aktorzy nie mieli czasu na nauczenie się ról, musiałem główną akcję oprzeć na skrótach plastycznych jak grafika, napisy, rysunki – co nadało przedstawieniu bardziej plastycznego charakteru i nawet większej ekspresji. Nic dziwnego, że po premierze rozeszła się wiadomość po mieście, że Gład, sensybilista (miało to dla niektórych pejoratywne znaczenie) z grupą kryminalistów szanownych ludzi publicznie obraża.

Ogromnie się cieszę, że Pan to mówi, bo nigdzie nie czytałem o tym intymnym rodowodzie sensybilizmu.

– Mógłby pan o tym usłyszeć od ludzi

Nie zdając sobie sprawy, kopnął ją, jak to jest w zwyczaju piłkarzy i ta eksplodując urwała mu nogę. Był to piorun z gatunku ognistych”. Albo: „U górnika Józefa Z. zakoczyły się pod podłogą dziwne stwory, o sześciu łapach; bezfuterkowe zwierzątka, które mnożą się w odstępach regularnych co osiem tygodni. Zawezwany weterynarz wałbrzyski stwierdził, że są to rzadkie okazy z rodziny patyczaków”. Jaka była nasza radość, kiedy znajdowaliśmy te i temu podobne rewelacje w dziale „Wiadomości z Wałbrzycha”. Kiedy jednak któregoś dnia wysłaliśmy również interesującą wiadomość, że amerykański milioner, bawiący przejazdem w Szczawnie Zdroju (gdzie mieszkałem) zakupił u miejscowego artysty plastyka Kazimierza Głaza wszystkie jego obrazy, nie tylko jej nie zamieszczono, ale ku naszemu zdziwieniu w kilka dni później zjechała delegacja wojewódzka z kolegą Jankiem Chwałczykiem do zbadania sprawy. Musieliśmy w tym wypadku stwierdzić, że milioner z nie wyjaś-

Jest rok 1956. Wrocław zaczynał wyzwalać się bardzo powoli z narzuconego sztuce socrealizmu.

Któregoś wiosennego dnia, idąc prosto z dworca, spotkałem mojego przyjaciela Michała Jędrzejewskiego tuż przed barem „Centralnym” w PDT. Sałatka śledziowa i małe piwko, a może i drugie i trzecie, bo wtedy dostarczano pilzner, wystarczyły, żeby znaleźć w Michale najlepszego entuzjastę i współtwórcę wrocławskiego okresu. Nie było w tym nic dziwnego, bo łączyła nas inna wieloletnia przygoda zwana Państwem Patagońskim, gdzie Michał był zdaje się królem, a ja z łaski Miłościwie Nam Panującego, prezydentem rządu (wydawaliśmy przeróżne odezwy, bili medale i wypuszczali własne banknoty zwane patagonami) Jego Królewskiej Mości i to w samym środku szalejącego na uczelni socrealizmu. Należy tu dodać, że wszystkie te sprawy dzieją się we Wrocławskiej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, przy

# Sensybilizm wiecznie aktualny

## czyli raz jeszcze o historii pierwszego awangardowego kierunku w sztuce polskiej po wojnie

– Przede wszystkim nie było to żadne ugrupowanie. To był duch, jak się to ładnie mówi, w narodzie wyrażający się w kilku nienaruszalnych pryncypiach, takich jak: stwarzaj własną rzeczywistość, odblokuj ujście życiowej energii, zrób to sam, nie czekaj na innych. Trafność naszych założeń wynikała ze znanej ludzkości od wieków prawdy, że wszystko opiera się na paru podstawowych prawach: entuzjazmie, przekorze, inwencji twórczej i realizacji. Ważne również było przekonanie, wywodzące się z nauk biblijnych, że niczego nie należy uściślać, ani zawężać, że należy zostawić szeroki margines działania i interpretacji, inspirując natomiast i ukierunkowując aktywność ludzką.

Sensybilizm powstał w Wałbrzychu. Wiemy o tym z dość dokładnych opracowań Zbigniewa Makarewicza, historyka i badacza tego ruchu. Jak to się stało, że w górniczym, przemysłowym mieście pojawia się idea, która później – dzięki Pana działalności we Wrocławiu i licznych podrójom – zyskała światową (niemal) sławę?

– Jest to klasyczny przykład obalający znane teorie i mity o wielkich ośrodkach. Z tych większych miast ludzie wyjeżdżali najczęściej do innych europejskich stolic i przywozili stamtąd ostatnie, choć nie zawsze najświeższe wiadomości. Ja z Wałbrzycha, wyjeżdżałem na Górę Ślężę, czy do innych sudeckich miejscowości, gdzie było sporo czasu na medytację i dostrzeżenie świata z innej perspektywy. Poza tym małe miejscowości zmuszają do wymyślania sobie własnej rozrywki i zabawy. Toteż już w 1955 roku powstała w Wałbrzychu (gdzie mieszkałem wówczas jako absolwent PWSSP, przygotowując pracę dyplomową) Niezależna Szopka Sensybilistyczna. Popularnie zwana NSS. Był to teatr eksperymentalny, szopka, kabaret o zacięciu satyrycznym, który z tychże powodów (silna reakcja miejscowych notabli) był zdany na inwencje teatralnych środków przekazu. Tym bardziej, że na kilka dni przed premierą cała moja ekipa zrezygnowała (pod wpływem zastraszenia) z udziału w występach. Na szczęście w miejscowym sądzie poznałem po rozprawie uniewinniającej, czterech młodych ludzi oskarżonych o próbę włamania się do sklepu alkoholowego, przestępstwo w tym mieście dość częste. Chłopcy ci, oczywiście bez strachu, jako że niewinni, z ochotą przystali do szopki i wnieśli wiele entuzjazmu, wyobraźni i potrzebnego sprzętu, na przykład – rzadkie wówczas nagrania rock'n rolla oraz sporo odwagi w satyrycznym przedstawianiu miejscowego establishmentu, z którym byli na bakier. Ponieważ premierę zapowiedziano na

w Wałbrzychu, tych którzy byli tego świadkami, więc Zygmunt Jodłowski, Jerzy Adamczyk, Wojtek Siuda, czy Wała i Staszek Kostrzewowie, redaktorzy „Trybuny Wałbrzyskiej”.

Moja działalność nie ograniczała się tylko do teatru. Wyrażała się w wielu innych działaniach – dekoracje wielu kawiarni i restauracji. (W „Syrenie” były bardzo uproszczone w rysunku trzy gracze z białego gipsu na czarnym tle ściany, uznane niestety przez miejscową krytykę za niedożywione. Zakryto je wobec tego dyskretnie płótnem). Były też afisze dwupiętrowej wielkości na dni filmu, neon do „Delikatesów”, scenografia do teatru lalek, czy wyjątkowo sensybilistyczne korespondencje do „Gazety Robotniczej” we Wrocławiu. Jak ta z piorunem ognistym na przykład. Przez całe lato wysyłaliśmy razem z Adamem Gawronem, krótkie, lokalne wiadomości w formie telegramów. „Oto po burzy, koło kopalni «Wiktorii», przechodzący górnik napotkał wczesnym rankiem dziwną złośliwą kulę.

nionych powodów wyjechał nieoczekiwanie, nie pozostawiając ani dolarów ani swojego adresu.

W Wałbrzychu wydałem też na zasadzie samizdatu pierwszą odezwę-manifest, stwierdzając niedwuznacznie pochodzenie sensybilizmu: „... Kierunek artystyczny, który nie przyszedł do nas ani ze Wschodu ani z Zachodu”.

Opowiedziałem to panu nieco szerzej, żeby naszkicować choćby pobieżnie tło tej wałbrzyskiej przygody.

Z Wałbrzycha przywiózł Pan tę „formę bycia” do Wrocławia. Jak wyglądały początki działań sensybilizmu wrocławskiego, bo tam zaistniał on na innej płaszczyźnie?

– Pozwoli pan, że opowiem to również za pomocą paru anegdot. Przyjmijmy, że ta rozmowa będzie bardziej prywatna niż oficjalna, anegdotyczna niż naukowa. O sensybilizmie napisano wiele rozpraw, prac magisterskich i nawet, jak się dowiaduję ostatnio, pewna historyczka sztuki napisała pracę doktorską.

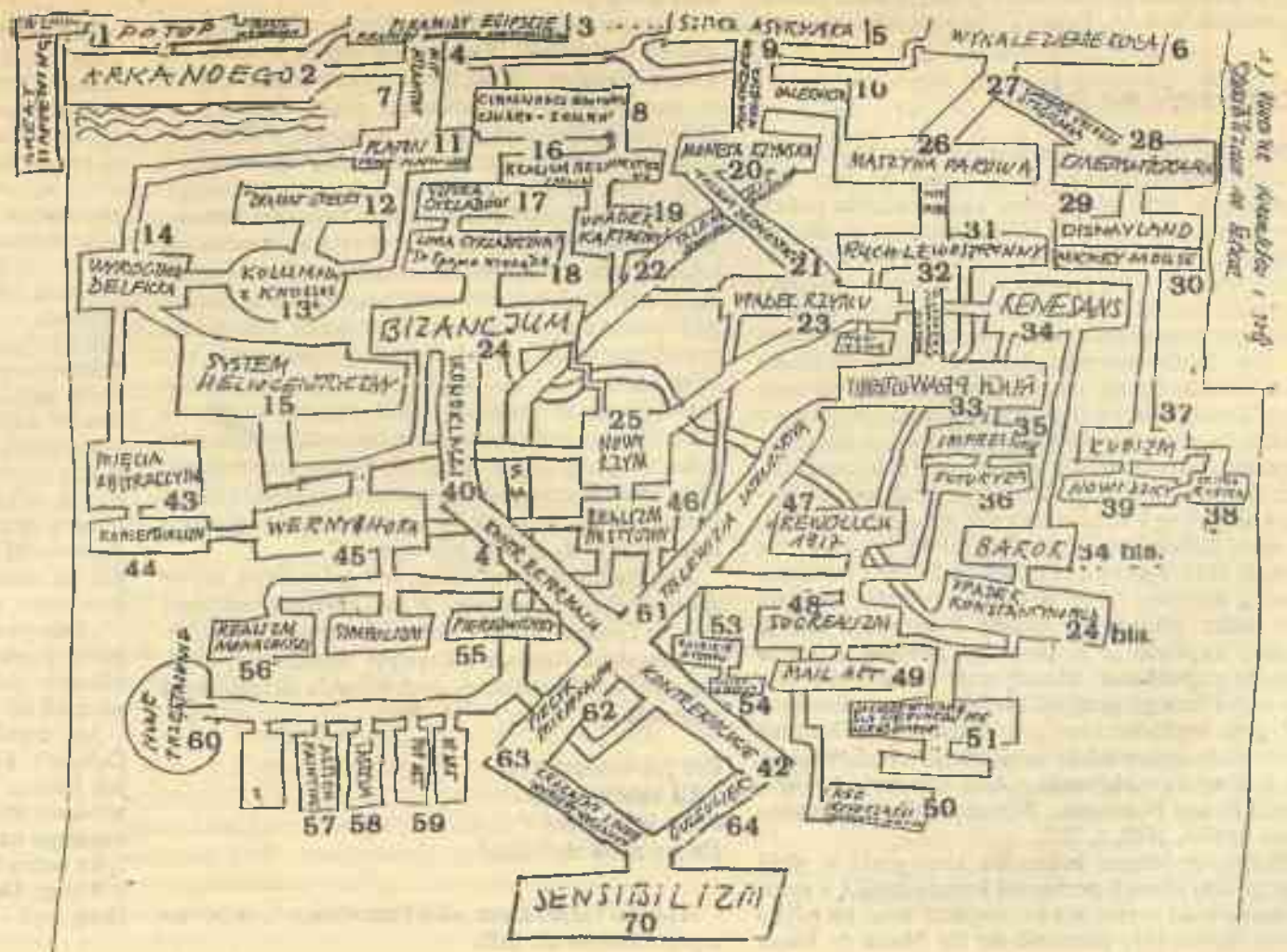
placu Polskim. Ktoś koniecznie powinien opowiedzieć o tamtych pełnych wydarzeń szkolnych latach.

Zazwyczaj wymienia się równocześnie z Jędrzejewskim, również i Zajączkowski.

– I słusznie. Tylko, że Wiesio tworzył bardzo udaną frakcję. On chciał tworzyć sensybilizm naukowy (napisał nawet Encyklopedię Sciencji Pełną), w czym mu nie przeszkadzaliśmy, zgodnie z twierdzeniem Michała, „że sensybilizm nie zwalcza innych kierunków, tylko je wchłania”. Toteż pozwoliliśmy Zajączkowskiemu czyścić zęby ośła na scenie Teatru Kameralnego w czasie pierwszego przedstawienia. Czyścił mu więc zęby (teatralna atapa) i recytował jakieś patetyczne wiersze, co wyrażało znane nam wówczas dobrze „Prawo dialektyki” jedność i walka przeciwności”.

Różnie mówi się o tym spektaklu. Czy mógłby Pan opowiedzieć, jak to naprawdę wyglądało?

– Michał zorganizował je z kolegą





I. POSTANOWIENIA WPROWADZAJĄCE

1. W porozumieniu ze Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich, Związkiem Literatów Polskich i Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, Sekcją Polską PEN-Clubu oraz Wydziałem Zdrowia Psychicznego Ministerstwa Zdrowia organizuje się Akademię Literatury Polskiej.  
2. Powołanie Akademii Literatury Polskiej stanowi przełomowy moment dla literatury i raz na zawsze oddali od nas dwuznaczność sądów i rozmazanie krytyki literackiej. Każdy człowiek pióra będzie miał swoje miejsce i swoją pozycję literacką.  
3. Dokładne określenie miejsca literatury i literatów w życiu społecznym jest naczelnym celem Akademii Literatury Polskiej.

II. ZASADY OGÓLNE

1. Parać się piórem może każdy obywatel Rzeczypospolitej Polskiej niezależnie od faktu czy posiadał umiejętność pisania czy też sztuka ta jest mu zupełnie obca.  
2. Niektórych wymienionych w pkt. 1 nazywać będziemy literatami co jest zaszczytnym prawem i pociąga za sobą liczne obowiązki.  
3. Do podstawowych obowiązków literatów należy przestrzeganie jedności czasu, miejsca i unikanie rozdwojenia osobowości.  
4. Literatom, którym osobowość się rozpadła nie przysługują żadne ponadnormatywne przydziały papieru i atramentu.

III. REGULAMIN SŁUŻBY WEWNĘTRZNEJ

1. Stopnie literackie.  
A) Dla uniknięcia dwuznaczności tworzy się korpusy literackie w obrębie rodzajów: liryki, epiki i dramatu.  
B) W obrębie korpusów ustanawia się następujące stopnie:

Nazwa korpusu: epika liryka dramat

**LITERACI MŁODSI**  
debiutant dublet  
mł. prozaik mł. liryk mł. dramaturg  
prozaik liryk dramaturg

**LITERACI STARSI**  
pisarz poeta dramaturg  
st. pisarz st. poeta st. dramaturg  
klasy

pomniki) wyposażeni są w odlane z brązu pióra gęsie. Geniuszowi przysługuje dodatkowo wieniec, którym wieńczy go muza.

D) Awanse. Każdy literat może być awansowany na wyższy stopień. Prawo do udzielenia awansów posiadają tylko literaci w stopniu akademika. Każdorazowo listę awansów ogłasza „Tygodnik Literacki”.

2. Przedstawianie się pojedynczego literata.

Pojedynczy literat przedstawia się podając swój stopień między imieniem i nazwiskiem. Np. „Jan młod-

V. REGULAMIN MUSZTRY

1. Przemarsze.  
Literaci poruszają się w szykach zwartych i szykach luźnych. Tych ostatnich jako nie liczących z godnością literata należy unikać. Ilekroć zbierze się większa liczba literatów powinni oni wyłonić spośród siebie najstarszego stopniem, aby objął komendę. Jeżeli jest większa ilość literatów równych stopniem, dowództwo obejmuje najstarszy wiekiem. Przemarsze mogą się odbywać wewnątrz form literackich jak i między nimi.

2. Oddawanie honorów.  
Każdy literat zobowiązany jest oddawać honory starszym i przełożonym. Rozróżniamy następujące rodzaje oddawania honorów.  
A) **Osobiste.** Literat oddaje honory przez pochylenie głowy i górnej części tułowia. Trzeba uważać aby tę czynność dokonywać po sfrontowaniu. Gdyby bowiem starszy lub przełożony znalazł się z tyłu mógłby całość czynności oddawania honorów zrozumieć opacznie.  
B) **W druku.** Literat oddaje honory w druku przez umiejętny dobór przymiotników zwłaszcza w stopniu najwyższym.

3. Służby.  
Literaci zobowiązani są pełnić służbę w związkach twórczych, na zebraniach i na wieczorach autorskich. Objęcie służby odbywa się po odebraniu sygnału: „Literaci do pióra”.

4. Chwyty piórem.  
Wszystkie dozwolone.

VI. POSTANOWIENIA KOŃCOWE

1. Zabrania się uprawiania literatury przez osoby niepowołane. Likwiduje się też takie formy paraliterackie jak prywatna korespondencja czy napisy na murach i w toaletach. Osoby powołane mogą uprawiać zajęcia literackie tylko w formach wyznaczonych przez przełożonych.  
2. Powyższe przepisy wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

**Przepisy wprowadzające i wewnętrzne Polskiej Akademii Literatury**

**AKADEMICY**  
mistrz  
mistrz gatunku  
komendant

**NIEBOSZCZYCY**  
wieszcz  
wieszcz narodowy  
geniusz

szy liryk Kowalski melduje się do recenzji”.

3. Meldowanie.  
W wypadku wejścia przełożonego najstarszy stopniem literat podaje komendę: „Panowie literaci!”, po czym zebrani przyjmują postawę zasadniczą, następnie składa meldunek. Postawę zasadniczą należy zachować aż do momentu gdy przełożony wyda komendę: „Spocznij!” W ogóle należy być zasadniczym.

§ 1. Literaci od klasyka w górę mogą spoczywać na laurach.

§ 2. W takim wypadku służby medyczne powinny pobrać świadectwo zdrowia od ob. Filona.

IV. REGULAMIN SŁUŻBY WARTOWNICZEJ

1. O tym czy książka jest coś warta czy nie i tak decydują czytelnicy.

C) Dystynkcie. W celu rozpoznawania stopni literackich wprowadza się następujące dystynkcie. Literaci młodszy noszą w zewnętrznej kieszeni długopisy krajowej produkcji. Wyjątek stanowi tu oznaczenie debiutanta, który nosi sam wkład. Literaci starszy noszą tamże długopisy firm zachodnich od BICA do Parkera. Akademyści mają prawa do piór wiecznych (w tym mistrz gatunku do pióra ze złotą stalówką). Nieboszczycy (a właściwie ich

**Prenumerata przyjaciół**

- Tomasz Wilimowski – Katowice – 180000, 2
- Zbigniew Sajnog – Gdańsk – 3490000
- Rejonowa Komenda Policji – Piekary Śl. – 6700000 (3 egz.)
- Leopold Kraska – Majtkowski – Kraków – Przymorze 90000
- Marek Nowakowski – Warszawa, Janusz Głowacki Nowy York – 26 USD – Pod warunkiem nie przysyłania dalszych egzemplarzy.
- Stanisław Barańczak – Zamiast kwiatów na grób Jamesa Henry’ego – 56 USD.
- Bobik dziękuje Dwidze za 34 i za BULION
- Dziękujemy Tartakowi nr 54 (Ruciane-Nida), papierni w Kwidzynie i drukarniom.
- Alfredowi Noblowi dziękujemy za trotyl.
- Dziękujemy Spawaczowi za dziesięć lat.
- Tadeusz Konwicki winien za dziesięć numerów



**z ostatniej chwili!**

**Robert Tekieli**

tato!  
pan który połknął piłkę wsiadł usiadł wygodnie było go rącho nawet nie szyczał

**dramat klozetowy**

S...  
tr  
ach!